

PLUSZCZ

Spółeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 25 KWIETNIA 1931 ROKU

NR. 17.

TREŚĆ NUMERU: O trochę dyplomacji w metodach kulturalno-oświatowych — *Wanda Borudzka*. Marta zarabia... — *Jadwiga Krawczyńska*. Poezje: „Wiatr“ — *Felicja Kruszewska*. Bronchit — *Zofja Sikorska*. W paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Pośmiertna wystawa dzieł Antoniego Bourdelle'a — *Jadwiga Kiernarska*. O poskromienie miłości — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. O kobiecie współczesnej i kobiecości, jako takiej — *J. K.* Ubranie sportowe — *W. Prażmowska*. Zjednoczenie francuskie narodowe — *Pani Elżbieta*. Letnie salony — *Wanda Dobrzańska*. Pawie (dok.) — *A. D.* Tanie obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Książki nadesłane do Redakcji. Dodatek „Mody i roboty“. Arkusz wzorów.

O TROCHĘ DYPLOMACJI W METODACH KULTURALNO - OŚWIATOWYCH

I.

Od czasów, kiedy do chłopca, świeżo uwłaszczonego, spodełba patrzącego na nagłe wyczulanie się inteligencji, wydelegowano pierwsze patrole oświatowe, czai się w nich lub sztandarowo wywiesza naiwna pomyłka: teoretyczne przewidywanie dróg, którymi do maluczkich (opornych zresztą i groźnie uzębionych) schodzi kultura i cywilizacja. Od tego czasu często mamy do czynienia z wsią, miasteczkiem, przedmieściem wielkiego miasta — chłopską izbą, suteroną, poddaszem, kuchnią — wszelkiem wogóle pierwszym pokoleniem, zgarniętem w dobroczynne sieci. Gromadzimy je w domu ludowym, lokalu gminy, kursów wieczornych lub pod gołym niebem z okazji kamieni węgielnych, poświęceń świeżo polakierowanych instytucyj i innych obchodów okolicznościowych. „Na bój z ciemnotą“ wywlekamy zawsze tę samą ciężką artylerję, która, wielki grzmot czyniąc, przeraża i odstrasza.

Rezerwując do użytku w zamkniętem kole równych sobie najcenniejsze narzędzie wszelkiej taktyki — dyplomację, w akcji kulturalno oświatowej występujemy bez maski, obnażeni z wszelkich osłon pod wrogiem, krytycznym okiem, odkrywamy odrazu wszystkie karty, w myśl naczelnej przywary pijanego: co na sercu, to na języku.

Tymczasem czemże jest w istocie swojej pedagogika, jeśli nie właśnie dyplomacją? Więcej nawet — dowcipem, wysilonym w jednym jedynym celu: przebicia (a jeśli się nie da — to dotarcia wszelkimi sposobami dyfuzji) warstwy nieufności, niechęci, ignorancji i wogóle wszystkich strażników „ciemnoty“,

która jest niczem innym, jak tylko egzystencją poza nawiasem ustalonych, wdrożonych w naszą służbę, zdobyczy.

Kogoż to mamy zwalczać?

Analfabetyzm (brak wiedzy we wszystkich dziedzinach). Przesady i zabobony (pseudo-wiedza szkoldliwa). Amoralność (egzystencja poza nawiasem pojęć etycznych). Niemoralność (uświadomienie fałszywe, in minus). Aspołeczność (nieznajomość korzyści, płynących z gromadnego bytowania). Wszystkie te pojęcia mogą być płynne i względne, ale pokonanie ich i swobodne obracanie się w krańcowych przeciwieństwach jest dziś warunkiem najpewniejszego rozwoju i prosperowania zarówno grupy, jak jednostki. Musimy więc dotrzeć za wszelką cenę do tych, osłoniętych czarnym skrzydłem szatana ciemnoty, placówek.

Zdawałoby się, wszystkie ścieżki są dobre, jeśli prowadzą do zlikwidowania tych hamulców postępu: Piotr wielki, reformator genialnie-naiwny, za włosy wyciągał wstydlive bojarynie z dusznych teremów na swoje asambleje. Nam się zdaje, że tylko szosa jak sierpem rzucił, prosta doprowadzi do celu. Boimy się najniewinniejszego kompromisu, bezgrzesznego podstępku, poprostu pewnej wstrzemięźliwości w odsłonięciu kresu mozolnej wędrówki — stworzenia pewszecznie rozplenionego typu pełnowartościowego obywatela.

Cel ten jest jasny i świeci, ale nam. Dla żrenicy, niewycwiczonej w reagowaniu na światło, jest mglisty, zamazany, albo zgoła ciemny. Ogólnie stoso-

wane dopingi najczęściej zawodzą. Trzebaby się rozjeździć za nowymi. Nieszczęściem pokutują w nas jeszcze naiwne metody ubiegłego stulecia: „O to idziemy do was ze słowem Bożem zasiewać ziarno“ i t. p.

Czy sprawa ta nie warta byłaby pewnego reformatorskiego wysiłku? Nie, żebyście się stali moralniejsi, lepsi, mądrzejsi — ale, żeby wam było lepiej, wygodniej, weselej? Nie żebyście byli patryjotami, ale żeby wam było bezpieczniej, spokojniej, bogaciej we własnym kraju, niż w najeżonej kłami paszczy sąsiada.

W rezultacie, niczem nieosłonięty, na wszystkie wiatry sprzeciwów wystawiony „kaganiec oświaty“ raz wraz przygasa z nieproporcjonalną do rozlazanego światła ekspansją oliwy i śwędu.

Zamiary, skonsolidowane pod wysoką kopułą idei, rozlążą się pod niskim pułapem rzeczywistości. W czym więc tkwi nieporozumienie?

Na nic się nie zda propagowanie jakiejś ryczałkowej metody w akcji, która niedowidzi, niedosłyszcy i utyka z powodu braku umiejętności jej różniczkowania. Z tym samym odsłoniętym dostojnie transparentem patryjotyzmu, etyki, wiedzy wkraczamy (nie umiemy się chytrze przemknąć) do wszystkich środowisk.

Te same granitowe fundamenty zakładamy pod wąty namiocik elementarnego kursu wędrownego, co pod ciężki gmach wyższej uczelni, podczas gdy w pierwszym wypadku jedynym atrakcyjnym czynnikiem byłby widok wesoło powiewającej chorągiewki.

Wielkim głosem chciałoby się wolać o trochę ciutkiej jaszczurczej chytrności w przemyśleniu całej sprawy nanowo. Wyobrażamy sobie to wszystko według czysto teoretycznego schematu. Tak, a nie inaczej nawarstwiają się w człowieku kolejne pokłady cywilizacji. Tą właśnie najprostszą drogą dumnie i pewnie kroczy (może tylko — powinna kroczyć?) oświata. Tymczasem, niepozorna, niedostrzegalna, niemilościwie, ale tem pewniej, bo konkretnie panującą rzeczywistość spiętrza te warstwy najniespodziewaniej, kluczy i myli ścieżki według swoich praktycznych przesłanek, które nam tylko wydają się błędnym absurdem. W rzeczy samej te właśnie dziwaczne niespodzianki są prawdą, a jeśli nie zgadzają się z teoretycznym wynikiem naszego programu, powinniśmy to uznać za dostateczny powód do przeróbki i przykrojenia go na nieuniknioną miarę rzeczywistości.

Zdawałoby się, że tylko z mocnych, zdrowych korzeni elementarnej choćby wiedzy, etyki, społecznego uświadomienia, higienicznego trybu życia mogą wystrzelić lekkomyślne kwiatki zbytku i użycia. Tymczasem potykamy się ze zdumieniem o fakty

wręcz przeciwnie. Dziewczyny wiejskie właczają ciasne lakierki na rozdeptane stopy, obrażają nasz, a zaspokajają swój, świeżo nabyty w miejskim sklepiku, smak estetyczny jaskrawą krepdeszyną, z pietyzmem przechowując na oknie zabójczo pachnące różowe mydelko (używane tylko do twarzy). Z tem wszystkim nie mają zielonego pojęcia o Kościuszcze, siódmym przykazaniu, myciu nóg i uprawie warzyw. Młodzież męska skupuje po sześć tandetnych zegarków i piorunujące fontazie, głodząc bydło i partoląc poletka owsa, a obie wiejskie płcie tańczą w ciasnych izbach przedziwnie zmodyfikowane fokstroty przy akompaniamencie wyjców gramofonowych.

Na zapracowanych, niedożywionych przedmieściach jeszcze bujniej rozradzają się zdobycze pseudocywilizacji: kina, brukowa lektura, nagminne wydawanie ciężko zarobionych pieniędzy na t. zw. przez nas fatalaszki, które są przecież jedyną, dostępną dla tego poziomu, radością życia. Jakież to ładunek wkładamy w tłum rąk tak różnych, a tak jednakowo zachłannych w sięganiu po piankę tandetnego użycia?

Robiąc przegląd wszelkich niekulturalnych środowisk z t. zw. półinteligencją włącznie, stale posilkujemy się jedną metodą *natychmiastowego* odwracania umysłów od złego, kierowania ich na drogę etycznego rozwoju, wiedzy i uświadomienia społecznego. Antyalkoholizm, oszczędność, higiena...

Największe larum czynimy koło wsi, co ośmieliła się przestać być czcigodnym skarbcem regionalnym, sycącym nasze oko pięknem strojów i tkanin, malowniczością obrzędów, oryginalnością piosenek. Nie rozumiemy tej prostej rzeczy, że regionalizm jest już sztucznym rezerwatem, a dnie jego bez trudu mogą być policzone. Z chwilą, kiedy go oko inteligentki dojrzało i oceniło, jest, jak ten grzyb — dostrzeżony już nie urośnie.

Cała akcja, mająca na celu cofnięcie wsi do jej patryjarchalnej tradycji lub zatrzymanie w ćwierć drogi do swoiście i w naszym mniemaniu zdrożnie pojętej kultury — zamrze w zarodku. Na nic się nie zda triumf odkrycia makatki ludowej — ten sam jubel czynimy po gazetach na wieść o narodzinach żubra. Nie znaczy to bynajmniej, abyśmy nie ogrzali się w promieniach zachodzącej sztuki i obyczajowości ludowej, nie wchłonęli czarodziejskiej urody zastygłych w bursztynie tradycji elementów aż prasłowiańszczyzny. Przetapiając je nagwałt w wątki sztuki stosowanej i literatury — zarówno przez prosty odruch wdzięczności, jak rozumne wyrachowanie — winniśmy otoczyć cenne pozostałości czcią i opieką.

Nie szalejmy jednak zbyt dokoła tej sprawy, bo, jak zobaczymy dalej, przez nierozumny tupet i niefachową gorliwość macimy tylko wysychające źródło, osiągając rezultaty wręcz groteskowe.

Wanda Borudzka.



MARTA ZARABIA...

Nie mam na myśli pani Hanau, której na imię także Marta i która z tym tematem jest jakby blisko spokrewniona, ale Martę biblijną, która według słów ewangelicznych „krząta się koło wiela”.

Marta z Betanji, uosobienie praktycznego rozsądku w walce o byt i o ziemskie dobra, niezbędne do codziennego życia, niemało podejmowała trudów. Podczas, gdy jej siostra Marja słuchała słowa Niebios, siedząc u stóp Pana, Marta przędła, tkala, nieciła ognisko, gotowała strawę, pasala owce, chodziła po wodę do studni.

Dzisiejsza Marta zarabia pieniądze.

Jesteście, Marty moje, straszliwie prozaiczne. Uganiacie się za mamoną, kłopoteczcie się zniżkami pensji i bilansem handlowym; macie własne konta, dręczycie się zawilociami ubezpieczeń na starość — (a któraż szanująca się niewiasta przypuszcza wogóle, że się zestarzeje?). Waszych dłoni, stworzonych do pieczyoty, nie palą pieniądze, wyliczane wam za dniówki i urlopy...

A jednak, kochane Marty, które krzątacie się koło wiela, chciałabym powiedzieć o Was coś dobrego.

Jak mi się to uda? Tyle jest przeciwko Wam zarzutów, niechęci...

Oto szanowna matrona mówi do mej koleżanki:

— Pani pisuje w gazetach? I pani *za to* płacą?

— Płacą, szanowna pani, płacą.

— I pani to nie robi przykrości?

— Przykrości? Może tym, co mnie czytają, jest przykro, ale mnie nigdy. Często nawet odczuwam szczerą przyjemność...

Dama patrzyła z niedowierzaniem, ale z podziwem:

— To zdumiewające!... Pani jest bardzo *odważna*. Jabym nigdy nie miała odwagi zarabiać. I pani z tego może żyć?

— Tak, szanowna pani, z niczego innego.

Pewna tancerka, czy buchalterka — mniejsza o to — wygrała sprawę w sądzie pracy. Skarżyła o niezapłacenie jej odszkodowania przy zerwaniu umowy.

— Wie pani, że to jakoś niebardzo... żeby osoba przyzwoita i do tego kobieta, upominała się przed sądem o pieniądze, zarobione od jakiegoś ordynarnego przedsiębiorcy. Czy to licuje z kobiecym wdziękiem, taka *twardosc*, taka *zaciętosć*?...

— Zapewne, drogi panie, powinna była dać się obedrzeć ze skóry i posłać ją swemu byłemu szefowi. Może nie zrobiła tego przez delikatność... bo skóra była niepierwszej młodości.

Moja przyjaciółka (kogóż mogę najszczerzej obgadać, jeśli nie prawdziwe przyjaciółki?) jest rzeźbiarką, cenioną w najbliższym kółku rodzinnym. Gdy miała 5 lat, ulepiła z plasteliny konia, a papo, znany sportsman, uznał, że pegaz był podobny do hipopotama.

Otóż moja przyjaciółka zwierzyła mi się ze swych obaw, w przededniu pewnej wystawy, w której miała wziąć udział.

— Boję się szalenie, by ktoś czegoś nie kupił z mych prac...

Pocieszałam ją, jak mogłam, że niema obawy... na co rzekła wstydliwie:

— To musi być straszne brać pieniądze za swoje dzieło... wymieniać na marny grosz swój talent i twórczość... tak, jakby się sprzedawało samą siebie.

Ta wstydliwosć zaimponowała mi. Jakże można za marny grosz!... Tak długo o tem rozmyślałam, aż napisałam list do mego szefa, że nie mogę dłużej pracować za marny grosz i... muszę dostać podwyżkę!

*

— Ależ jej się powodzi! Zarabia pieniądze, jak lodu. Że też człowiek nie ma szczęścia!

Ta, której zazdroszczą, jest wziętą dentystką, pianistką, modystką.

— Zapewne, cóż łatwiejszego stać sobie 10 godzin dziennie przy maszynie do świdrowania, podłubać w próchniejących ząbkach... Albo 10 godzin dziennie przebierać palcami po klawiszach i uczyć gam i solfeżu małe dzieci; albo szyć po nocach kapelusze, a we dnie przymierzać je grymaśnym klientkom. Bagatelka! Pieniądze same lecą...

Moja rozmówczyni wydeła usta.

— No, i ja potrafiłabym to samo, gdybym chciała... Ale być tylko dentystką poto, by zarabiać pieniądze! Poco? To samo może zrobić mężczyzna. Poco ja mam się męczyć dla głupich pieniędzy! Nigdy nie mieć czasu dla siebie? To prawie poniżające... kobieta musi być bardziej idealistką... i bardziej praktyczną.

Więc poco? Marto, poco?

Jakże potrafię cię teraz obronić, ty szara, codzienna, bez wdzięku i ty, która nawet nie masz czasu na miłość, ty, którą twoje siostry, co nigdy nie przesłęczały nocy nad książką lub przy igle, uważają za „głupią”, ty, niepraktyczna prozo!

Poco, Marto?

Widzę ją, jak o świcie idzie do fabryki, do prania, do szycia. Wieczorem wraca, ślaniając się nieraz z 8-godzinnej pogoni za wrzecionem, z 8-godzinnego siedzenia przy zwijaniu tytoniu, lub wybijaniu stempli. Myśl jej zupełnie zabita monotonią ruchów i brakiem fosforu w niedożywionym mózgu.

Ale Marta przy końcu tygodnia ma inną minę. W fartuszkach jej brzęczą pieniądze, szeleści błękitny papier. Niewiele tego, ale *jej własne*. Zabierze jej to gospodyni, u której jest sublokatorką w kuchni, zabierze sklepik za mleko dla dziecka, kupiec, który sprzedał jej na raty pantofle — ale nie zabierze jej nikt poczucia własnej wartości: Marta jest oceniona na 30, czasem nawet 50 złotych tygodniowo. Rzadko kiedy papier ten idzie w górę. Ale jest to pożyczka. Najbardziej pewna Marta jest tego pewna. I jest *perona* samej siebie.

*

Znałam ją... z kuchni. Ta Marta była stara i lubiła opowiadać o czasach, kiedy była młoda, świeża i zapewne ładniejsza. Wtedy to pewien młody człowiek zapraszał ją na niedzielne spacerki. Bardzo go lubiła, bo był delikatny i chorowity. Myśleli, że się pobiorą; mało o tem mówili, bo dla służącej szczęście, to coś bardzo dalekiego. Był chorowity. Zamordował się pracą. A inni byli zdrowi i nie byli tacy delikatni. Więc już nie pomyślała o niczem. Żeby w dzień harować, a jeszcze potem...

Marta mówiła wyraźnie o tem, jakie było życie jej matki, jak żyją jej siostry i znajome. Bo są skazane na pieniądze od męża. Marta była *straszliwą feministką*, chociaż nie znała wcale tego słowa. Przynajmniej tu, w kuchni, wie, czym jest. Niech jej kto powie złe słowo, a pójdzie sobie. Poszuka sobie szacunku chlebodawców, a swoje pieniądze zawsze zarobi.

Marta zreorganizowała po śmierci ojca upadający sklep — zrobiła zeń wzorową placówkę. Sama rozprawia się z dostawcami, wyjeżdża na prowincję, biega do banków. Matka jej, starsza siostra-kaleka są trochę zgorszone, że Martę nic nie interesuje, prócz robienia pieniędzy. Bardzo rzadko wpadnie na koncert, choć lubi muzykę — mówi, że nie ma na to głowy. „Dawniej grała godzinami w tenisa, a teraz nigdy nie chce ze mną — skarży się młodszy brat, czternastoletni uczeń. Dziwna ta Marta. Ona jedna troszczy się w domu o pieniądze — a i tak głową domu będę ja, gdy dorosnę”...

Marta się nie dziwi. Czy jest głową domu, czy nie — ma rodzinę — jest *najpotrzebniejsza*.

Marta jest dyrektorką księgarni, jest kierowniczką działu w banku. Marta prowadzi pracownię sukien, czy pudełek, wyrabia dywany, szkła, dachówki, jest agentką ubezpieczeniową, handluje masłem i jajami, wyrabia wędliny, jest adwokatką, literatką... Marta zarabia: boryka się sama z odbiorcami, klientelą, wyklóca się z szoferami i wnosi rekursy w urzędzie skarbowym. Nad wieczorem otrzymuje telefon od męża: „Czy cię zobaczę, kochanie, dziś wieczorem? I ja jestem bardzo spracowany. To nie, pójdziemy naprzód do klubu, troszkę na przechadzkę. Wiesz, a jutro rano już otwarta pływalnia, dobrze?”

I Marta ma oczy śmiejące, rozjaśnione, choć przed chwilą jeszcze była tu bardzo ostra rozprawa z niesumiennym biuralistą. Zwraca się do mnie:

— Czy pani wie, ile miałam trudu, aby przekonać tego mego męża, że możemy się pobrać, chociaż ja będę nadal pracowała? Że możemy wziąć nasze życie na wspólną odpowiedzialność. I on i ja tak samo. Bo czyż wogóle moglibyśmy się pobrać, gdybym nie pracowała? I czy mogłabym wybrać sobie człowieka kochanego, gdybym musiała liczyć się z moim brakiem posagu? Tak, jak wiele innych kobiet, wyszłabym może zamąż za pierwszego z brzegu, który miałby odpowiednią pozycję, czyli sumę dochodu.

— I jest pani szczęśliwa?

— Bardzo, niesłychanie! I chyba nietylko ja sama. Jest nam naprawdę dobrze, gdy jesteśmy razem. Nigdy się sobie nie uprzykrzymy... raczej tęsknimy do siebie, bo oboje mamy tak mało czasu...

— Lecz czy tak będzie zawsze?

— Może i nie zawsze. Bo, pani wie, ja, to jest my, chcielibyśmy jeszcze czegoś... zawsze chce się jeszcze więcej szczęścia. Dobrze jest mieć odwagę. Jeżeli będę miała dziecko, dzieci, będzie to wielką radością, że są tam, co w życiu zdobyłam najdroższego, no, i że mogłam im wybrać ojca takiego, jakiego chciałam. Ale dosyć, zagadałam się po babsku, muszę spotkać się z mężem, a trzeba zrobić się dla niego troszkę ładniejszą...

— Do widzenia, do widzenia.

W pracowni haftów każdy liść dębowy na sztandarze cechu piekarzy — w gabinecie kosmetycznym każda modnie wyrysowana brew na alabastrowym od masażu czole — to dla Marty pieniądze na opłatę szkoły za syna, na kolonje letnie dla córeczki, na sweterki dla obojga. U Marty, która uczy cudze dzieci, która jest aptekarką i zarabia, robiąc maści, wody, recepty, jest także dziecko. Jej własne, sierota bez

ojca, sieroty po siostrze, po przyjaciółce. Marta może być lekarką, malarką, szwaczką, fryzjerką, może być starą panną, wdową, kobietą samotną — zawsze koło niej jest dziecko, czasem kilkoro, które powinna wychować sama. Dziecko, którego los jest w jej rękach, któremu trzeba stworzyć przyszłość. Jej dziecko — *los dziecka w jej rękach...*

I Marta zarabia. Na maszynie do pisania, w buchalterji, na Nationalu w kasie...

*

O Marcie mówią, że ma talent do robienia pieniędzy. Przedsiębiorstwa rosną pod jej zarządem. Założyła u siebie na wsi mleczarnię nowoczesną, teraz zakłada bekoniarnię. W dobrych towarzystwach, do jakich należy Marta, mówią, że to jakoś nie uchodzi, mając taki majątek, jeszcze chcieć zarabiać, skoro się jest kobietą. I to razem z chłopstwem, bo mleczarnia jest spółdzielcza. Marta jeździ prawie co rok zagranicę, ale po nowe maszyny i na konferencje ze specjalistami o hodowli prosiat. O Paryż rzadko kiedy zawadzi — w Ostendzie i Vichy nie bywa.

A potem Marta wydaje zarobione pieniądze na nowe spółdzielnie, to na lunetę astronomiczną do nowego obserwatorium, innym razem na wydawnictwo pięknych książek; kto wie, czy nie zechce ufundować łóżka dla rakowatych. Trudno — ludzie kręcą głowami, a najwięcej rodzina: — Marta *ma mniej społeczne*. Niema na nią rady, bo sama zarobiła *pieniądze*.

*

Czy słyszeliście o szalonej fortunie Marty? Przewadziła hotel-pensjonat. Była inflacja, deflacja, akcje i operacje. Ludzkie pieniądze przesypywały się, jak śmiecie. Marta zarabiała. Jest dziś w radach nadzorczych, ma własny samochód, obraca papierami, daje dyspozycje agentom na giełdzie. Zarabia, zarabia... nie, nie jest to Marta Hanau. Jest Polką, pieniądze dla niej — to swoboda. Marta — wolny ptak, pojedzie na jakąś egzotyczną wyprawę, będzie miała niezwykłe przygody, przywiezie nadzwyczajne okazy z głębi Afryki, czy Brazylii dla jakiegoś gabinetu jednej z „nudnych” nauk — wyrzuci po drodze fantastyczne sumy, wróci, jako wolny ptak. Zostanie na łodzi, z pustą kieszenią, znacznie od wyprzedzący kosztownych futer i eleganckich mebli i będzie znowu zarabiała. Pieniądze, pieniądze!

Te pieniądze, zdobyte własnym trudem, jakże ciężko czasami! — to znaczy dla jednej własna odpowiedzialność za swoje życie, wykup czy okup za samotność i niezależność osobistą, dla innej — posag, szczęście małżeńskie i macierzyńskie dla tamtej, los dzieci i utrzymanie rodziny, praca społeczna, a nade wszystko własne miejsce na świecie, skrawek ziemi i powietrza pod słońcem, swój, nikomu nie zabrany — rozporządzalność sobą. Okup, złożony społeczeństwu, tradycji, rodzinie, więzom i przesądom, w dźwięcznej i szeleszczącej postaci pieniądza, wyzwala Martę w walce o własny byt: na jednej szali wag — jej własny, ciężki trud, na drugiej — jej własna busola życia.

I to, zdaje się, jedyny powód, dlaczego świat tak trudno Marcie przebacza, że sama zarabia pieniądze. Znacznie trudniej, niż gdyby wyrzucała z wdziękiem i bez sensu — cudze. *Jadwiga Krawczyńska.*



FELICJA KRUSZEWSKA.

W I A T R

Próżno się dzisiaj za oknem kłębisz,
mieczem warczącym siekąc powietrze,
i księżyc w nieba kołyszysz głębi,
głębi straszliwej, głębi bezdennej,
wietrze szalony, wietrze wiosenny!
Drzewom galezie splatasz, rozplatasz
i biegną żywe za tobą, wietrze.
Tak nisko padasz, tak górnje rozlatasz,
z prochem się bratasz, z gwiazdami bratasz,
a do mnie tylko trafić nie zdołasz.

Opuść ramiona nieublagane,
daremnie krzyczysz, daremnie wołasz.
Jakże cię, wietrze, dzisiaj posłuchać?
Jakże do ciebie mybiec za ścianę?
Ręce związane! Nogi związane!
Nie stłuczysz szyby! Nie wyrwiesz ramy!
Nie dam ci serca swego przedmuchać.

Już się nie znamy, już się żegnamy.
Nie dotkniesz ogniem otwartej rany!
Nieodżegnany, niezapomniany!
Próżno się dzisiaj szarpiesz i trudzisz,
w dom mój zamknięty uderzasz z siłą.
Rany zarosną, skrzydeł nie było —
Nic nie obudzisz! Nic nie obudzisz!
Nieś dalej żywym szaleństwo wiosny.
Już nie ucieszysz, już nie zasmucisz,
wietrze okrutny, wietrze litosny.
Nie porwiesz z sobą do wielkiej jazdy!
Nie zepchniesz w piekło, w niebo nie rzucisz!
Aż kiedyś przyjdiesz, aż kiedyś wrócisz.
Gdy ręka Boga w proch dom mój zetrze,
nadlecisz, piersią trącając gwiazdy,
wietrze radosny, śmiertelny wietrze,
by rbić mi w serce odrodzieliński
miecz ostroźloty, miecz archanielski.



B R O N C H I T

2)

Joanna bowiem postanowiła zuchwale cisnąć rękawicę trudnościom nowego zawodu i zastosować system skrótów. Niech jedno się smaży, drugie gotuje, a ja przez ten czas będę przyrządzała trzecie. Jak doświadczona gospodyni, której pięknie i składnie, jak nici z kłębka, rozwijają się czynności w zręcznych dłoniach, a potrawy powoli i systematycznie dochodzą do maksymalnego natężenia swej smakowitości.

W godzinę potem Piotr stanął na progu.

— Bój się Boga! Co ty robisz?

Kuchnia była wypełniona dymem i wonią spaleniźny. Na skrzyni z węglem siedziała rozpacz w postaci Joanny.

— Nigdy nie będę Kamalą z Rozbicia — jęknęła. — Tak pięknie wszystko perkotało i skwarzyło się. Byłam pełna różowych nadziei. Zaśpiewałam nawet o różach, wieńczących tron pani domu. Jeszcze chwila i byłabym pokochała pracę w kuchni, bowiem zdołałam wyluskać z niej odrobinę poezji. Teraz wszystko przepadło. Będę nienawidziła garnki i patelnie do śmierci.

— Cóż się stało?

— To, co możesz poznać powonieniem: „przy-psło“ i przypaliło się.

II.

Wieczorem zerwała się zadymka. Wiatr miótł przed sobą tumany śniegu. W świetle latarni, ster-

czącej nawprost okien gołębnika, widać było mknące z zawrotną szybkością płatki.

— Aż w głowie się kręci! — oświadczyła Joanna.

Ale mama w rumieńcach gorączki między jednym a drugim paroksyzmem kaszlu niepokoiła się o Piotra.

— Tak daleko posłałaś go po sprawunki. Trzeba było wszystko zakupić w sklepiku na rogu. Napewno się przeziębi. Grypa podobno szaleje. Mówiła mi dzisiaj Adela. Niema domu, w którymby ktoś nie chorował.

— Trudno. Jest lwem, więc musi znosić pożywienie.

Ale gdy rozległ się trzykrotny dzwonek, ucieszyły się obie. Lew wracał obładowany zdobyczą. Wygląd miał mocno sfatygowany, zaczerwienione oczy.

— Zdaje się, że złapałem grypę, — zwierzył się cichutko siostrze.

I nazajutrz nie przyszedł.

Mieszkanie przestało być lwią jaskinią, zaopatrywaną szcudrze przez króla i władcę. Stało się samotną wysepką, zagubioną wśród bezkresu szumiących fal. Albo szczątkiem rozbitej łodzi. Było odcięte od świata. A w kątach czaiło się niebezpieczeństwo.

Życie rozszczepiło się na mnóstwo drobnych włókienek, z których każde przytwierdzone było do innej płaszczyzny zjawisk. Było ubogie i jednostajne, a mimo to męczące nadmiarem. Bowiem należało myśleć o wielu naraz sprawach.

Jedyny zew świata, — koperty ze szpaltami powieści — nosiły teraz napis: Bardzo pilne! — Należało więc je odwalić w błyskawicznym tempie.

Mały wróg, przyczajony w termometrze, czyhał na każdą chwilę wytchnienia. Przekreślał bez apelacji nieśmiały błysk nadziei. Naigrawał się wyraźnie z otuchy mamy. Wydrwiwał jej miły i jasny optymizm.

Gdy mówiła:

— Dziś jest mi już dobrze. Napewno nie mam gorączki. Przed obiadem wstanę.

— Uhu! uhu! — śmiał się niepozorny skrzacik, schowany zwykle w rurce ręcionej. Stawał na palce, jak mógł najwyżej, i wydłużał się do 39 st.

Mama bezradnie opadała na poduszki, a Joanna, nucąc dla niepoznaki wesolą piosenkę, szła ze struchlałym sercem do kuchni, zmywać naczynia.

Potem trzeba było co temu iść po zakupy.

Stały się rzeczywistością nierealne dotychczas sklepy z warzywem i jatką.

Jatki, o kamiennych w biało-czarne kwadraty posadzkach, o kafłowych ścianach, na których z mojących haków zwisały platy mięsiva, rozplatanie wieprze i białe, błoniaste ćwiartki cielęciny.

Wyroili się tutaj czerwone, opasłe twarze, białe fartuchy, zatłuszczone ręce, lśniące noże i zrzęzne, a celowe ruchy około ciemno czerwonych z kremową obrzeżką sztuk wołowiny, lub zjezonych rzędem kości schabów.

Przeciskały się do świadomości zagadkowe djalogi:

— Proszę dwa kilo pierwszej krzyżowej!

— Trzy od skrzydła!

— Czekam na zrazową!

Gdy poprzez głowy kucharek, osób świadomych rzeczy i mądrych, różowo i okrągło-licy rzeźnik zwracał się z zapytaniem do Joanny, odczuwała zawsze tremę. Czy dobrze będzie wiedziała, czego chce właściwie i czy nie da się zbić z tropu jakimś nieoczekiwanym, dodatkowym pytaniem?

Ale niedarmo Joanna powtarzała stale: Drogą ćwiczeń zdobyć można każdą umiejętność. Stopniowo bowiem trudności gospodarcze poczęły przycichać. Rosoły, kleiki i potrawy, dysponowane przez lekarza, nabierały coraz wykwinniejszego smaku. Ręce machinalnie prawie wykonywały odpowiednie prace przy usługowej pomocy pokrywek, durszlaków, walków i sitek.

Wykwitła zato posępna fantasmagorja nocy. Za ledwie po wydaniu ostatniej porcji lekarstw, po wykonaniu wszystkich zaleconych zabiegów, światło gasło, nadlatywały czarne przeczucia i niepokoje. Otwierały się głębie niedostrzegalne dotychczas.

Życie, życie ludzkie. Życie motyla. Jednodniowe na tle ponurych otchłani czasu, na tle niezmiernych przestrzeni. Przeszłość i przyszłość, a w środku, jak nędzna lampka, dyszająca jedyną kroplą oliwy, błyska dar skąpy, chwila dzisiejsza.

Moczary, trzęsawiska bezdenne. Idziemy tędy spolem, i ty, i ja, i tamci, i jeszcze inni. Jak niepostrzeżenie zapaść można w grząskie, ciągnące bagno,

i zniknąć, nazawsze zniknąć! Szybko zasklepi się wówczas wyłom, zabliznią się rysy i szczyrby.

Uniosła się jakaś niewidzialna zasłona i struchlałym oczom Joanny ukazało w całej przerażającej grozie prawo śmierci. Prawo tracenia nazawsze możliwości obcowania krwią, sercem, ciepłem z tymi, co odchodzą.

Nie było znikąd ratunku. Zarosły wszystkie ścieżki, wiodące do nadziei. Nad olbrzymią topielą unosił się wielki, nieprzystępny, niematerjalny, nieuchwytny i nierozpoznawalny Duch Boży.

— Czyż wiem, kim jesteś? — drżało serce Joanny.

— Niech pani się nie obawia, — powtarzał we dnie lekarz. — Niema niebezpieczeństwa.

Ale mama codzien była słabsza, więc Joanna umierała z trwogi. Bo któż może patrzeć spokojnie na życie swego życia i szczęście swego szczęścia — bezsilne?

Otoczyła ją najzupełniejsza samotność, a głosy ludzi dobiegały jakby z za mgły.

—————::—————

Aż wreszcie pewnej nocy zabłysło światło. Zrozumiała, że nie było powodu do lęku. Ujrzała jasno i wyraźnie, kim był Ten, którego się bała.

Był Cichym i Dobrym Przyjacielem. Można było złożyć bezsilne ręce w Jego wszechmocne dłonie i uczuć, jak z żył w żyły przelewa się spokój, ciepło, siła i życie.

III.

Na miejsce czarnoookiej, smagłej Geni przyszła jej przyjaciółka, jasnowłosa Stefcia i zdjęta zaraz ciężar prac z ramion Joanny.

Stało się wszystko, jak przedtem, przed wielką Epopeją Bronchitu. Tylko z jedną różnicą.

Stefcia nie wiedziała przecież, że Joanna jest niczym. Cudzoziemcem, nieświadomym praw. Pionkiem, który przy biurku, z nosem utkniętym w starych rocznikach, wyławia jakieś ułamkowe obrazki umarłego życia, jakieś okruchy zdarzeń, z których zbuduje potem dla siebie i dla innych pałac. Ale w sprawach swego własnego domu nie ma nic do powiedzenia.

Stefcia, oczywiście, nie wiedziała o tem, zastała Joannę przy gotowaniu i odrazu powzięła do niej zaufanie.

I oto wobec mamy, siedzącej już w fotelu, zwróciła się do Joanny.

— Proszę panią, pani będzie łaskawa obejrzeć mięso, czy ładne.

I drepcząc już do kuchni:

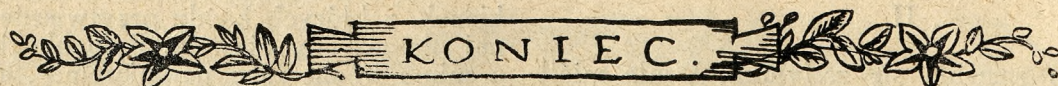
— Jak pani każe zaprawić buraczki?

Joanna pokraśniała.

Był to dzień szczęścia. Słońce odbijało się w szybach kamienic z naprzeciwka i słabym złotym odbłyskiem, jakby przypomnieniem promiennych rozkoszy lata, ozdobiło włosy mamy. Z kuchni dolatywał śpiew Stefci.

Ucichły wzburzone fale. Joanna złożyła wiosła i wolno, bezpiecznie dała się nieść prądowi do cichej przystani. Do pełnego odbić słonecznych gołębnika.

Zofja Sikorska.



W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

Prunelowe pantofelki

Pani Zofja włożyła ładne prunelowe pantofelki, gdyż dnia tego wybierała się do Luwru, aby po obejrzeniu nowości jesiennego sezonu napisać o modzie paryskiej.

Ze swojej górki przechadzkowym krokiem zeszła na Włoskie Bulwary. Środek szerokiej drogi, wysadzanej wiązami, platanami i japońskimi jesionami, jak okiem zasięgniesz, zalegał długi szereg powozów, wymijających się zręcznie i sunących cicho po gładkiej, żwirowej powierzchni, niby po dywanie. Piętrowe omnibusy — rulujące balkony, jak je nazwał Wiktor Hugo — powoli, dostojnie toczyły się od przepysznego kościoła Magdaleny aż do złotego Anioła Wolności, co się nad placem Bastylji unosi. Jako odblask epoki romantycznej, kiedy to poezję stosowano do życia, omnibusy nosiły jeszcze nazwy „Faworyt“ i „Białych Dam“. Woźnica siedział na koźle, również na piętze, i wywijał długim batem, zatrzymując ekwipaż na każde skinienie wsiadających i wysiadających. Kurs, co prawda dość wielki, kosztował drogo, bo 50 centymów.

Na całej linii bulwarowych teatrów powiewała czerwona chorągiew korsarska. Rozboje i grabieże, gwałty i łupieżę w największej teraz modzie. Dla odrętwiałych epispierów kordywał przedziwny! Gdybyż to tylko na deskach teatralnych!...

Grano sztuki o samych morskich tematach: „Bicz Oceanu“, „Bracia Brzegów“, „Syn Fali“. Przedewszystkiem powodzeniem cieszył się balet „Korsarz“. Coby powiedział Byron, widząc na scenie tańczące swe krwawe poematy?!...

Niedawno jeszcze, zaraz po wojnie Krymskiej, modne były przedstawienia żołnierskie; Variétés dawały bohaterstwa wojaków, malujące lepiej charakter francuski, aniżeli powieści Suego i Koka. Podobnie Ateńczycy, wróciwszy z wojen Perskich, dzieje swoich wypraw spokojnemu ludkowi opowiadali. Tylko, że teraz autorem żadnej sztuki nie był Eschylos, co sam bił wroga. Prawda, czasy się zmieniły i Sebastopol — to nie Salamina...

Na Bulwarach Kapucyńskich właśnie otwarto wystawę fotografii. Pani Zofja zarówno z obowiązku kronikarskiego, jak i dla własnej ciekawości poszła ją zwiedzić. Zobaczyć chciała nowy wynalazek Désdéri — bilet portretowy.

Ofiarowuje się go nie tylko przyjaciółom, ale i znajomym.

— Panie H. — mówi dama do kawalera — jeszcze mi nie dałeś swego portretu? Przyślij go, proszę! Zostawiłam umyślnie wolną kartę w albumie!...

Taki mały wynalazek, a przewrócił kodeks dawnych konwenansów...

Pani Zofja zdumiewała się doskonałością postępów fotografii. Podziwiała wierność szklanego wzroku maszyny, wielkość obrazów — dwa metry szerokie i metr długie; patrzyła na galerję współczesnych „Żywych ludzi“. Nadara i myślała, iż camera obscura, nie będąc sztuką, jest służką artystów, służką nauki i pomocniczą pamięci. Stworzono ją, bo przyszedł moment, że obycie się bez niej nie można, gdy uwydatnić należało splendor prawdy — ale i szarość życia...

Potrzeby są jedynym rzeczywistym tyranem.

Wszystkie zdobycze wiedzy technicznej zachwycały Zofję i bardzo jej imponowały. Jednocześnie, na głuchej wsi polskiej pokłon im składała inna niedawna entuzjastka — Gabryella.

Zofja opowiadała dalekim czytelnikom o coraz nowych, do Paryża, tej encyklopedji geniusza ludzkiego, wpisywanych cudach. Wszystkie, które zrodził przemysł razem z nauką, były dla niej równie ważne. Cel tych cudów, od dawnych inny, ale niemniej humanitarny. „Ci, co bliźnich kochają, co pragną polepszenia doli nędzarzy, powinni znaleźć w sobie nutę, na którą mogliby śpiewać dobrodziejstwa wynalazków“. Ona nutę tę znalazła i całą młodość swej współczesności żywo odezuwa. Rozprawia o elektrycznych zegarach; wie, że kolor szafranowy trudny jest do uzyskania w porcelanie; wie nawet wszystko, co wiedzieć trzeba, o manchesterskich wyrobach. Zna historję handlu francusko-angielskiego, pamięta i zapisuje nazwy i pojemność statków, bada technikę marynarki. Jedzie do Cherburga patrzeć na spuszczenie statków i manewry morskie, jedzie razem z tłumem cudzoziemców, który dąży za cesarzem. Pcha ich siła ciekawości, ale jakże inna dziś, a dawniej!... Siła ta pchała niegdyś młody świat do wielkich rzeczy, Atyllę do Rzymu, Kolumba do Ameryki! A obecnie, zostawiwszy w Paryżu gwineje, ciągną nad morze, napatrzeć się dotąd niebywałym i nieznanym fajerwerkom...

Z wystawy fotograficznej wyszła znów na Bulwary.

Dzień był jesienny, śliczny. Przypomniały się Zofji latające srebrne płótna Arachny, co pokrywają nasze pola, skoro z nich złote ustąpią kłosa. Życie buchało na ulicy ze zdwojoną siłą; krażyło w powietrzu. Radość jest na balkonach, kwiaty na tarasach, kobiety w oknach, a słońce wszędzie. Zaś szczęście? Już nigdzie. Pani Zofja smutnie skłoniła głowę, strojną w nową kapotkę.

Wszystkie kobiety były ładne, w letnich jeszcze sukniach, ubrane w błyszczące uśmiechy i łaskawe spojrzenia. Wszystkie wydawały się być dobre, młode, zakochane. Od kobiety zakochanej piękniejsza jest tylko kobieta modląca się!

Były, jak Gazelle, jak bohaterki Teofila Gautier. Miały paljowe suknie i kaszmirowe szale. Płynęły, żeglując spódniczkami, lub unosiły falban trzydzieści i dziewięć, jakby zapatrzyły się na Camarę i też pragnęły zagarnąć wszystkie po drodze zebrane żądze i pochwały. Aby po powrocie do domu kazać je służącej strzepnąć...

Pani Zofja tak jeszcze nie miała ochoty iść do Luwru! Postanowiła wypić szklanekę wody sodowej w jakiejś kawiarni.

Przechodziła obok jednego tarasu a potem drugiego, nie mogąc wybrać: gdzie? Mężczyźni, niedbale huśtając się na krzesłach, śpiewali finalne arje wodewilowe; inni śmieli się z własnych conceptów lub słuchali tenora ulicznego, paląc, przez kilka godzin pracy zabronione, cygaro. Byli tam też i szlifibruki, co życie spędzają na tarasach kawiarni, a marzą o gabinetach Maison Dorée... Hulacy, którzy, gdy piękna przechodzi kobieta, wyrrywają z ust cygara i rozpustne rzucają jej słowa zachwyty...

Poszła do Tortoniego na rogu Włoskich Bulwarów i ulicy Taibout, gdzie dziś Pol Express się mieści... Tortoni — to intelektualne Trianon XIX-go wieku. Gdy dwór zastąpił Tout Paris, miejsce zebrań duchowej elity. Coraz rzadziej bowiem mówiono „dwór“, a coraz częściej „Tout Paris“. Już nawet nie Second Empire, ale Second tant pire... Choć dwór starał się prestige swój utrzymać: cesarzowa Eugenia stworzyła modę — krwolinę, szale, wielkie kapelusze i maleńkie parasolki wprowadziła w użycie, zaś cesarz Napoleon stworzył styl drugiego cesarstwa, ostatni, lecz już tylko eklektyczny styl francuski.

Za Ludwika XVI-go, aby spędzić nudę, dwór perfilował i grał komedje, teraz bawiono się w żywe obrazy, a puszczano bańki mydlane. „Jedyna poetyczna zabawa epoki“ — śmiała się pani Zofja, gdy wyczytała, iż dziecinnych sposobów poniechawszy, wynaleziono maszynę do puszczania Vole-Heures'ów. Zaraz o tem oznajmiła dalekim czytelnikom, pół żartem, a pół serjo. „W naszym doktrynerskim świecie, pełnym formulek, systemacików, kłamstw historycznych, paszkwilów i panegiryków, w tym czasie, w którym głowy zawsze są tak nadęte i próżne, frazesy tak wielkie, a tak bezduszne, w którym tyle książek i dzienników, a tak mało sensu — można znaleźć miłszą zabawkę nad puszczanie baniek z mydła?!...“

A także na dworze zabawiano się wirującymi stolikami, wywoływaniem duchów, w czem, zdaniem Zygmunta Krasińskiego, celował i „niesłychanych dowodził cudowności“ amerykańnin Hume, nowy Cagliostro. Obok Eugenji entuzjazmowały się nim najpiękniejsze Polki, z Marją Kalergis na czele; przyznawała całemu światu, iż ciekawia ją wszystkie rzeczy tajemnicze i niezrozumiałe. Gorliwy też brała udział w tej duchomanji Delfina Potocka. Na jednym posiedzeniu dzwonki chodziły po pokoju i wabiły dźwiękiem serc, poruszanych niewidzialnymi siłami. Chustki latały i zawiązywały się w węzły — same. Ręce od stolików się podnosiły, jakieś nieludzkie, zaświatowe, i dotykały osób, przy stole siedzących. Nawet cesarz i cesarzowa je widzieli. Ręka taka opierała się na jasnym czole bohaterki „Przedświata“.

U Krasińskiego seans się nie udał. Medium dostało ataku i konało na kanapie przerażonego wieszca.

Pani Zofja nie uległa magji cudowności. Wirujące stoliki uważała za zabawkę, choć nie wątpiła, iż nauka pozna jeszcze wiele tajemniczych sił i wytłumaczy niemi niewyjaśnione dotąd rzeczy. Ale na podstawie modnej chiromancji wróżyć o szczęściu młodej pary, jakie to śmieszne! Szczęście bez wróżby się obywa i nie jej słucha rozkazów — skoro ma mu nadejść koniec...

Na tarasie Tortoniego to samo, co na poprzednio widzianych. Tam elegancka młodzież, tu duchowi, pijąc absynt, gastronomowie, przygotowywali się do obiadu, którego może jeść nie będą. Świat stary, do

rozgrzewki trunku potrzebuje! Również zasiedli krzesła i, paryskim obyczajem oparci o poręczę, bujali się odniechcenia. Gdy piękność, wsparta na męskim ramieniu, szła, przeciskając zreżnie rozłożyste falbany, smakosze oczu wstrzymywali kubek opalowy i półgłosem urodzie składali haracz.

Pani Zofja wolno piła wodę sodową. Ale trzeba już było iść do Luwru, aby napisać o modzie, którą Paryż dyktuje całej Europie. Panowanie nowości proklamuje on w Wielki Piątek, w czasie spaceru po Polach Elizejskich. Wędrownica ta datuje od pobożnej pielgrzymki do klasztoru Karmelitanek, na Longchamps. Święta Ludwika, fundatorka Bożego domu, nie poznałaby miejsca. Klasztor znikł bez śladu, ale spacer o zmienionym celu — pozostał.

Oburzająca ta promenada Wielki Tydzień sobie podporządkowała. Cały bowiem Wielki Tydzień — to uwijanie się, przymierzanie kapeluszy, próbowanie nowych sukien, koni, powozów. Ekwipaże są złocone, galonowane, herbowane. Wśród włóczenia się po Polach Elizejskich spędza się czas, przeznaczony na spowiedź i skupienie, urządza ekspozycję rzeczy najbardziej ziemskich, zamiast iść do kościoła Magdaleny podziwiać olbrzymi krzyż, z ulubionych przez cesarzową fiołków parmeńskich. Gdybyż przynajmniej wystawa ta estetyczny posiadała charakter! Nie! wielkie panie kradną pomysły scenie, a ulica znów je naśladowuje. Mężczyźni zaś — szarzy i bezbarwni — wszyscy jednako ubrani, Sankiulotyzm stroju. Nawet pogoda nie zawsze dopisuje. Często aura grudniowa, niebo ołowiane, wiatr i grad. Ale tłum zawsze ogromny...

Pani Zofja weszła przez kryształowe podwoje Luwru i szybko, w fotelu na kółkach, udała się na pierwsze piętro magazynu, aby obejrzeć najnowsze materiały. W Polsce nieznane, niewidziane, niesłychane, wprost niepojęte... Podziwiała zbiorowy gust Francji, perły narodów...

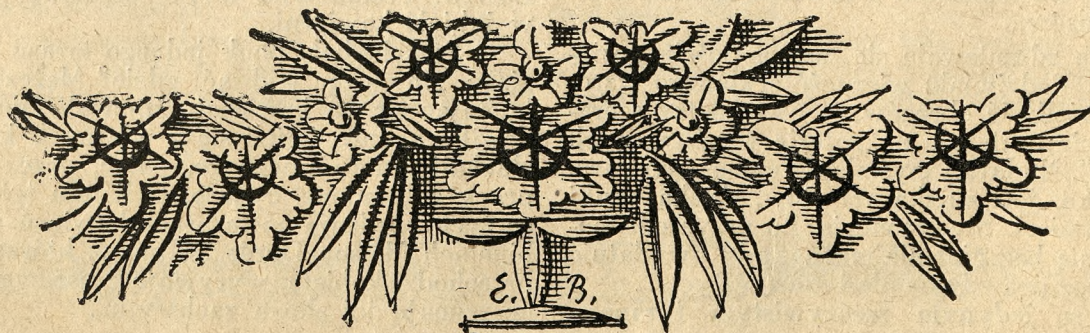
Bez paszportu, z piętra na piętro przenoszona dalej w fotelu na kółkach — urządzonym, jak dźwignia w kopalni Wielickiej — odbywała podróż po wszystkich miastach świata i wszystkich prowincjach Francji; napatrzyła się przepysznych jedwabiom ljońskim, koronkom Malines po kilka tysięcy metrów.

Wśród złotych tkanin tumany powiewnej gazy, co, jak mgła, unosi się nad łąkami z aksamitów, oświetlonych słonecznym blaskiem indyjskich szali, zbudziła się nagle w duszy Zofji żywa chęć posiadania tych rzeczy, o których traktat pisać trzeba było.

Przypomniała sobie suknię Eugenji, widzianą na wystawie u Wortha: grecka tiunika z koronki, zarzucona na krynolinę, z brylantów przepasana przepaską. Możeby w niej lepiej leszcze wyglądała, aniżeli piękna Hiszpanka?

Prunelowe pantofelki zaprowadziły Zofję na drogę pokus.

Aura Wyleżyńska.





Emil Bourdelle: „Trzy siostry” — płaskorzeźba.

POŚMIERTNA WYSTAWA DZIEŁ ANTONIEGO BOURDELLE'A

W dzieciństwie pasał kozy w rodzinnym Montauban, podobnie, jak ojciec jego ojca i długi szereg przodków. Dziad artysty, ojciec jego matki, był tkaczem; rytmiczne kołysanie czółenka, chodzącego miarowo w krosnach, usypiało chłopca, jak kołysanka. Wuj Antoniego Bourdelle'a był kamieniarzem. Herkulesowa postać i surowa, archaiczna prostota rysów utkwily głęboko w pamięci i wyobraźni.

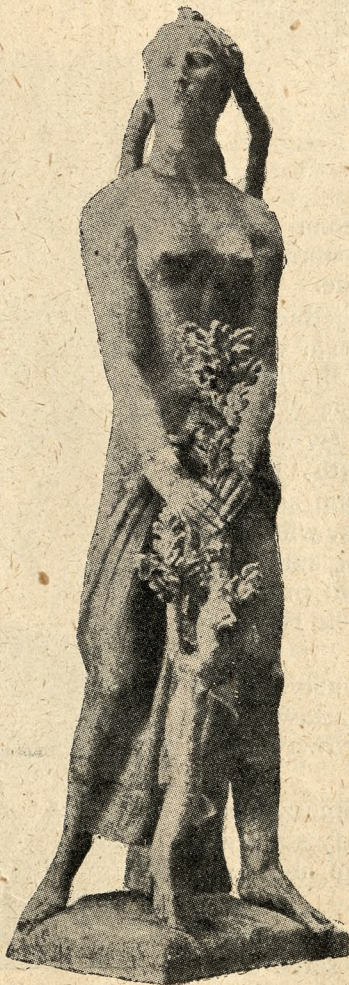
Ojciec rzemieślnik, pracował w drzewie, robił meble, wycinał także ołtarzyki i świątki dla wiejskich kościółków.

Świat wydawał się młodocianemu pasterzowi pełen cudów. Widok pasącej się trzody tchnął słodyczą i spokojem; w harmonijnym beku i niewinnych igraszkach bydła była radość—mocna i czysta, jak wino z ojcowskiej winnicy.

Szkoła stała się dla małego pastuszka źródłem przymusu i udręki. Daremnym wysiłkom wiejskiego pedagoga marzytel przeciwstawiał łagodne, lecz uporczywe nieuznawanie dobrodziejstw, mających nań spłynąć wraz ze światłem nauki.

— Ten smarkacz potrafi jedynie rysować! — woła zrozpaczony belfer.

Rewolucja roku 1871 pozbawiła ojca Bourdelle'a znacznej części jego dochodów. Poznawszy niepewność swego fachu, ojciec pragnął, by syn zajął się czemś prawdziwie pożytecznym i niewątpliwie dochodowym, lecz nic nie zdołało przełamać w trzynastoletnim chłopcu niezłomnej woli zostania rzeźbiarzem.



Emil Bourdelle: „Postać młodości z pomnika Alocara”.

„Snycerz, wyrzynający ołtarzyki i zdobiący postaciami świętych kościelne kolumny, był mi objawieniem utajonego zmysłu architektury. W ładzie jego prac dzwigałem swe wewnętrzne budowle.

„Herkulesowy kamieniarz pouczył mnie, jak służyć należy ducha granitu i być powolnym radom kamienia, przemawiającego do tych, co w nim kuja.

„Od tkacza wziąłem sztukę kompozycji zwartej, jak piękna tkanina, a kunszt łączenia barw przełożyłem na język światłocienia.

„Kozie ścieżki kazały miśm kaprśnym nawoływać się i splatać ze sobą, łączyć zgodnie swą rozbieżność i różnorodność w spokój stada, spoczywającego w cieniu”.

Tak mówi o własnym dziele genialny rzeźbiarz, będący niewątpliwie i wielkim poetą.

Talent jego hartował się w ogniu przeciwności, wzrastał w nędzy i trudzie. Przez długie miesiące artysta żywił się wyłącznie kartoflami, lecz nigdy nie powstała w nim myśl najlżejszego odstępstwa od surowych, wewnętrznych nakazów Sztuki na rzecz gustu tłumów, Nędzę ciała złocił przepych ducha. Psychicznego pokarmu dostarczała przyjaźń takich ludzi, jak Moréas, Verlaine, Tellier, a później Anatole France.

Przełomowym momentem w życiu i twórczości Bourdelle'a stało się jego spotkanie z Augustem Rodin'em. Mistrz w pełni chwały, pierwszy przyszedł ze słowami uznania do młodszego kolegi.



A. E. Bourdelle: „Beethoven“, bronz.
Muzeum Luksemburskie.

Współpraca dwóch tytanów dłuta, zrodzona z wzajemnego podziwu i wielkiego, głębokiego umiłowania Sztuki, była płodna w dzieła nieśmiertelne.

W tym to czasie powstaje „Balzac“—jedno z najświetniejszych i najśmielszych dzieł Rodin'a, w wielkiej męczarni i rozterce ducha zrodzone. Oba talenty, rozrastając się i olbrzymiejąc, wpierały się w siebie, nie ciężąc sobie przecie i nie roztapiając się w sobie, nie zatracając niczego ze swych cech istotnych.

Zmysłowy tragizm Rodin'a nie podciął skrzydeł żywiołowej radości tworzenia i bytowania, właściwej Bourdelle'owi. Bolesny patos konającego, załamującego się pod ciężarem liry, Centaura, został przezwyciążony przez radosny, wyzwolony wysiłek Heraklesa, napinającego łuk.

Ów to Herakles, szeroko na skale rozparty, w niewidzialnego mierzący wroga, rozgłosił i rozsławił imię Bourdelle'a i uczynił go w oczach świata równym mistrzowi Rodin'owi.

Uznanie i sława nadchodziły, nie spiesząc się, krokiem równym i wolnym, czasem zdawały się przystawać po drodze. Twórca nie był na nie obojętny. Męczył się, wołając w próżnię.

Pierwszy obstalunek na wielki pomnik, mający stać na publicznym placu, nappełnił serce artysty nietajoną radością: Nareszcie! Nareszcie rozkoszna możliwość wypowiedzenia się w całej pełni!

A przecie, gdy się rzeźbiarz dowiedział, że pomnik miał być hołdem, złożonym pamięci generała, wstawionego krwawymi represjami nad bezbronnym paryskim ludem — odmówił przyjęcia tak wielce upragnionego zamówienia. Liczył wtedy lat czterdzieści pięć, gorzko odczuwał swe zapoznanie i mógł sądzić, iż przekreślając ten uśmiech szczęścia, oddała od siebie powodzenie raz na zawsze.

Kochał sławę i pragnął jej gorąco, a przecie dzieło jego nie ma w sobie nic z owych zalotnych łatwości, charakteryzujących prace artystów, usiłujących przypochlebić się szerokiej publiczności.

Twory Antoniego Bourdelle'a surowe są i chropawe, trudne w podejściu, wymagające powagi myśli i wielkiej głębi skupienia. Dusza jego dzieła grecka jest i romańska zarazem, antyczna i średnio-wieczna.

Po przez plastykę formy dąży do oddania treści wewnętrznej. Nie chce mieć nic wspólnego z efemerycznymi wpływami modnych prądów, ani z duchem czasu. Jest ponad tem wszystkim i poza tem.

Rzeźbione portrety Bourdelle'a są prawdą samą; odtwarzają więcej, niż podobieństwo zewnętrzne: stanowią wierną podobiznę ducha.

Uchwycenie wyrazu ducha jest wieczystą i niezmienną troską, najupartszym dążeniem tego twórcy materji. Rzeźbiarz zmaga się z kamieniem, aby zeń wydobyć siłą zakłęć istotę ducha. Nie obawia się, tak tępionej przez garść artystycznych pięknoduchów, „li-



Emil Bourdelle: „Biust Ingres'a“ — bronz.

teratury". Nie waha się uzupełniać swych rzeźbionych poematów wyrytą na cokole sentencją.

Napis pod potężną, a tragiczną maską Beethowena głosi:

„Jam jest Bachus, który myciska dla ludzi nektar rozkoszny“.

Napis ten powinien się znaleźć na grobie artysty.

Sale Pomarańczarni w Tuilerjach zbyt są ciasne, aby mogły pomieścić całą obfitą spuściznę wielkiego twórcy.

Jednakże nawet ta część jego prac, którą zdolano zgromadzić i pokazać — zgrupowanie rzeźb i ich mnogich projektowanych warjantów, szkiców akwarelowych, świadczących o trudnej, pełnej załamań i zmagañ z samym sobą, drodze, jaką przychodziły na świat prace Antoniego Bourdelle'a — uprzystępnia i tłumaczy twór artysty, rzuca szereg nowych światła na to, co zostawił światu.

Francja umie kochać i czcić tych, których uznała. Pamięć wielkich ludzi rzeźbi się tu nietylko w marmurze i bronzie, ale i w stokroć szlachetniejszym kruszcu umysłów i serc ludzkich.

Tłumy zwiedzających przybywają codziennie na pośmiertną wystawę dzieł Antoniego Bourdelle'a, a drukowane studia, komentujące jego twórczość i życie, liczą się już na dziesiątki.

Tu słowo Nieśmiertelność nie jest pustym dźwiękiem bez treści.

Jadwiga Kiernarska

O POSKROMIENIE MIŁOŚCI

Nie złońnicy, broń Boże! właśnie: miłości. Jakże to? Kwiat życia, najpiękniejszy cel osobisty człowieka, podnieta czynów twórczych, temat arcydzieł literatury całego świata, najdroższe dziecko ideałów romantycznych, usprawiedliwienie wszystkich szaleństw ludzkości... któż mówić śmie o przegłoszeniu tego potężnego motoru życia, o poskromieniu miłości?

A jednak.

Oburzajcie się, czytelniczki i czytelnicy, polemizujcie, proszę — nie uchylam się; niemniej jednak zdanie swoje objawiam, podtrzymuję i obstawać przy niem zamierzam.

Warto zastanowić się nad poskromieniem miłości. Trzeba przewartościować nasz stosunek do jej przerostu, do wszystkich nadużyć, do wszystkich nieszczęść, które przerost ten za sobą pociąga.

Zastrzegam odrazu, że nie chodzi mi o miłość najszlachetniejszą, idei, ani o uczucia rodzinne, tych bodaj w społeczeństwie obecnym za mało, nie, bynajmniej. Mówić będę tylko o tem, co nazywa się ogólnie i przemożnie, bez objaśniających dodatków: miłością; o miłości mężczyzny i kobiety. Gdyby mi chodziło o wysokie uzasadnienia mojej tezy, nie zabrakłoby mi ich napewno. Zarówno systemy religijne, jak filozofja i mistyka stawiały od wieków asceze, poskromienie uczuć erotycznych, jako warunek najwyższego duchowego rozwoju jednostek. „Czystość... ofiarą jest prawdziwą za ludzkość, przymnożeniem sił twórczych w narodzie... Błędna jest więc wiara, któraby tę cnotę uznała za niepotrzebną...“ pisze największy mistyk polski, najgenialniejszy przewodnik mocy ducha, Słowacki.

Ale nie o te wysokie progi chodzi, pozostaną one i powinny pozostać dostępne tylko dla najwyższych. Przeciętny ogół stosować może i musi inną miarę i nie ma bynajmniej potrzeby wyrzekania się miłości. Przeciwnie, powinna ona być, wraz ze swoim idealnym celem: założeniem rodziny, okrasą życia i podnieta do pracy i czynu, bodźcem zachęty na życiowej drodze. Idzie tylko o to, aby tem wszystkim być mogła.

A na to trzeba właśnie ją... poskromić.

Paradoks? Zapewniam, że bardzo pozorny. Miłość ma bowiem pewne warunki, w których staje się albo kwiatem życia, albo, przeciwnie, jego ostem i cieniem; chodzi więc tylko o takie do niej ustosunkowanie się, aby pielęgnować ją, jeśli jest pierwszym, a móc usunąć ze swej drogi w drugim wypadku.

Wszyscy znamy dobrze dziesiątki i setki takich przykładów, zasadniczo dadzą się one podzielić na trzy typy główne miłości nieszczęśliwej (o szczęśliwej nie mówię, tej bowiem poskramiać niema celu i potrzeby): brak wzajemności, nieprzezwyciężone przeszkody zewnętrzne, zły wybór przedmiotu uczucia.

W tych głównie wypadkach uczucie, mające być szczęściem i siłą twórczą, przeradza się w żywioł niszczycielski, powodując samobójstwa, zdrady, rozbicie rodziny, załamanie życia, w najlepszym razie długoltnie cierpienia moralne.

Przeciwno takiej miłości powinna ludzkość szukać i znaleźć środki lecznicze i zaradcze. Powinien każdy człowiek, w imię swego rozumnego i dobrego „ja“, w imię świadomości swojej swobody i mocy duchowej dziecka Bożego, w imię wszystkich dobrych celów ludzkości, zarówno jak w imię uprawnionego



A. E. Bourdelle: „Selene“ — bronz.

egoizmu: szczęścia własnego, nauczyć się takie uczucie poskromić, nie pozwolić mu zapanować nad sobą aż do katastrofy włącznie.

Zapewne odpowiedzią na to będzie twierdzenie, że miłość taka od początku świata istniała i że nikt na nią środka nie wynalazł.

Przedewszystkiem wcale tak nie było; we wszystkich etapach dziejów ludzkości przychodziły kolejno epoki rozluźnienia obyczajów i więzów psychiczno-moralnych i epoki większej dyscypliny duchowej. W tych ostatnich, bądź to surowość religijna, bądź obyczajowa, stanowiła bardzo poważny hamulec. Jest to więc dowód, że człowiek może zapanować nad swoim charakterem. Nie nawracając do metod zeszlých wieków, możemy i powinniśmy jednak wykształcić tak swój charakter, aby w nowoczesnych ramach życia rozwijał się w wolności rzeczy dobrych. Przewarłościować i uzupełnić pewne nakazy moralne, nadając im tym właśnie nową moc i sprężystość.

Lat temu sto i więcej np. hamulcem dla złego wyboru młodej dziewczyny lub chłopca była surowa wola i władza rodziców; czy dlatego jednak, że ta władza uległa zmianom w duchu nowoczesnym, młodzież ma mieć swobodę złego wyboru? Czy nie powinna postawić sobie hamulca w wyćwiczeniu charakteru i woli własnej?

I tak jest ze wszystkim, a powinno być coraz lepiej, bo przecież ten, któremu na imię „człowiek“, od czasów jaskiniowych, do dziś, rozwijał się coś niecoś i rozwijać się powinien chyba w przyspieszonym tempie w atmosferze coraz szerszej kultury materialnej i moralnej.

To też uczucie, które dla człowieka mniej więcej pierwotnego było tylko instynktem, popędem, które później rozwijająca się duchowość podniosła na wyższy stopień, właśnie przez nadanie mu wielkiej roli w życiu psychicznym, to uczucie człowiek dzisiaj powinien znów pojąć inaczej, nie pozwalając mu zapanować niepodzielnie nad innymi, szerszemi i wyższemi, do których pojmowania już dorósł.

Ale, zapyta kto, czyż jest na to sposób?

Jest bezwzględnie, sposób zresztą nie nowy. Od wieków wiemy i powtarzamy wszyscy teorię o rozumnym i szlachetnym wyborze, o przewyżczeniu uczuć, które stać się mogą krzywdą dla drugich i dla nas samych. Chodzi tylko o to, aby tę teorię przypomnieć i uznać. Poszła ona bowiem w zapomnienie. Przyczynił się do tego dużo romantyzm najpierw, rozluźnienie wielu hamulców psychicznych i obyczajowych później.

Chodzi o to, aby ludzie młodzi (niekiedy, niestety, i starsi!) zdali sobie sprawę z tego, że miłość jest uczuciem, które wymaga takiej samej kultury, jak wszystkie uczucia, a nie żadnym prawem bezwzględnie, które każdy, rodząc się, nabywa i któremu wszystko musi z drogi ustąpić.

Każdy człowiek może i powinien się zastanowić, czy uczucie jego ma warunki normalnego, prosto powiedziawszy, *uczciwego* rozwoju, jak wzajemność, brak nieprzewalczonych przeszkód (np. konieczność rozbitcia cudzego szczęścia lub rodziny), jaka taka moralna, umysłowa i psychiczna „odpowiedniość“ przedmiotu miłości i t. p. i w miarę tego pozwolić mu się rozwinać, lub stłumić je w zarodku. Niemożliwe!

(słyszę już tę odpowiedź) miłość rodzi się od pierwszego spojrzenia!

Nie, wcale i wcale nie! Tak bywa w roman-sach i tragedjach, tak może być wreszcie w nadzwyczajnych wypadkach, ale tak nie jest i nie bywa w życiu normalnie psychicznie rozwiniętych dzisiejszych ludzi. Miłość nie rodzi się wcale z pierwszego spojrzenia; nieszczęśliwe skutki „niedobrej miłości“ rodzą się z naszego nieopanowania psychicznego, lenistwa charakteru, niechęci zdania sobie sprawy ze stanu swego serca i miłego lenistwa: to tak przyjemnie, lekkie zadurzenie, flirt narazie... poco myśleć o przyszłości? Potem najczęściej żalony koniec po miłym początku.

Przykłady? Boże! Imię im legjon.

Oto młody człowiek poznał panienkę, prawie podlotka. Podlotek, jak to podlotek: próbował swych małych skrzydełek, młody człowiek patrzył z uśmiechem zadowolenia: to tak miło wiedzieć, że ta miła główka marzy! mieć takie coś swego i sobie oddanego.

Po pewnym czasie podlotek dorósł i jego pierwsza „miłość“ uleciała bez śladu, a młody człowiek tymczasem zakochał się nadobrze. Dramat! A czy nie należało rozważyć, przez ten czas, kiedy go było tyle, że nie umieszczą się kapitału życia na takiej podlotkowskiej hypotece?

Młoda panna spotyka młodego człowieka, kolegę, pracują razem, pasują do siebie doskonale; młody człowiek jest zakochany szczerze, serdecznie; cóż, jej się zdaje, że go nie kocha, odmawia, aby się przekonać, że go kochała, przekonać się wtedy, gdy on, zrażony, już się wycofał. Dramat też; a czy nie było czasu się zastanowić? Ot, nie chciało się poprostu; przyjemniej było nie myśleć.

Ktokolwiek, kobieta lub mężczyzna, spotyka na swej drodze kogoś; wie przecież, że ten ktoś nie jest wolny i pomimo tego zawiązuje flirt; cóż, głupstwo, taka miła znajomość! A po pewnym czasie dramat, często rozwód, lub gorsza tragedia. Przecież wiedział jeden, lub druga, co ryzykuje; czy nie można było się zastanowić?

A całe szeregi nieszczęśliwych dziewcząt, uwiedzionych? Przecież przy troszce, odrobinie rozsądku i opanowania każda unikałaby mogła swego losu. Żadna z pewnością nie zakochała się beznadziejnie od pierwszego spojrzenia. Do tego jednak właśnie opanowania trzeba ludzi wyrobić i przygotować. Trzeba raz nareszcie odważyć się stwierdzić, że miłość nie może być bezapelacyjnym regulatorem naszego życia psychicznego, że trzeba podporządkować ją nakazom moralności, rozumu i kultury wewnętrznej i że to *jest możliwe*, o ile zdamy sobie z tego sprawę dosyć wcześniej, w samym jej początku.

Jeżeli potrafimy, intensywniej i mądrzej, niż dotychczas, wychowywać w tym duchu młodzież i siebie samych, będzie napewno mniej nieszczęść i mniej narzekania na zawiedzione nadzieje i fatalną miłość. Nawet w razie istotnego i niezależnego od woli i wyrobienia charakteru zbiegu okoliczności, człowiek, tak rozwinięty duchowo, potrafi nawet miłość nieszczęśliwą przetworzyć w źródło mocy, jak nasi wielcy poeci. Nie stanie mu się ona nigdy przekleństwem życia.

Do tego jednak, trzeba umieć właśnie ją...
poskromić.

N. J.





TEATR NARODOWY.

„Dzień jego powrotu“ — dramat Zofji Nalkowskiej. Reżyserja
Emila Chaberskiego, dekoracje Wincentego Drabika.

Pierwsza po „Niespodziance“ Rostworowskiego nowoczesna tragedia polska, osnuta na temacie zabójstwa. Tylko, że Rostworowski pokazał nam krótką drogę, jaką człowiek z ludu przebiega od pokusy do zbrodni, a Nalkowska pokazała nam zbrodnię w analitycznym przekroju; ujęła ją nietyle, jako fakt, ile jako problemat, podeszła do niej raczej od jej strony metafizycznej, unaoczniając te spustoszenia, jakie szerzy ona w świecie materialnym i moralnym przez swą niepowrotność, nieodwracalność.

Bez względu na to, co możnaby z punktu widzenia logiki zarzucić teozom, stawianym zuchwale, a prześwietlanym drapieżnie i okrutnie przez autorkę (problemat przebaczenia), stwierdzić należy zdumiewającą jednolitość akcji przy jej wielopłaszczyznowości psychologicznej, zwartość budowy, pomimo krzyżujących się wątków, które w ostatecznym swym splocie zaciskają się w śmiertelny węzeł na szyjach bohaterów sztuki.

Jeżeli chodzi o robotę teatralną, o umiejętność wyzyskania minimum środków dla osiągnięcia maximum efektów scenicznych, „Dzień jego powrotu“ stoi o całe niebo wyżej od „Domu kobiet“. Tam mieliśmy do czynienia niejako z przejściem od faktury powieściowej do teatralnej, tutaj od początku do końca każdy moment jest nasycony dynamiką dramatyczną. W „Domu kobiet“ pionowy pęd akcji rozplywa się zrazu na poziomie niezmiennych statyki „charakterów“; w „Dniu jego powrotu“ wszystko zmierza ku ostatecznemu celowi, niema epizodów, osób niepotrzebnych, słów zbędnych. Każde z nich spada, jak kamień, na szalę losu, ściągając ją w dół, aż na dno, wedle niezmiennych praw ciężenia, z postępującem przyśpieszeniem biegu.

Podobieństwo obydwu sztuk polega na jednorodności chwytu scenicznego. I tu i tam środkiem zainteresowania widza jest tajemniczość. I tu i tam do końca niemal nie wiemy, co jest właściwym źródłem tragizmu bohatera; przejrzenie się w ten źródło — to konfrontacja prawdy ze złudą, konfrontacja najczęściej śmiertelna. Efekt dość prymitywny, ale dozwolony. Chodzi tylko o to, żeby ostateczne rozwiązanie zagadki psychologicznej stało na wysokości napięcia nerwów i oczekiwań widza. Największem niebezpieczeństwem dla sztuki jest obiecywać zbyt wiele. Rozczarowanie widza mści się na autorze podkopaniem jego kredytu moralnego.

Otóż ten prestige odpowiedzialności dramatycznej, mocno ugruntowany w nas przez dwa pierwsze akty, poważnie się zachwiał w trzecim. Dlaczego? Dlatego, że autorka, zamiast zawierzyć instynktowi twórczemu w trzymaniu się prostej linii życia, nadużywa myśli spekulatywnej w torowaniu drogi doktryny.

W ciągu dwu aktów widz odnosi wrażenie, że ma do czynienia z człowiekiem normalnym, który popełnił zbrodnię w afekcie, i całe nasze współczucie jest przy tym wracającym z więzienia cierpiętniku, który żałuje za swoją zbrodnię, pragnie rozpocząć nowe życie przy boku ukochanej żony. Tymczasem w trzecim akcie dowiadujemy się, żeśmy padli ofiarą mistyfikacji. Okazuje się, że Ksawery jest typem „urodzonego zbrodniarza“ na modłę teorii Lombrosa, zbrojeńcem, który mu-

si zabijać, żeby nasycić drzemiącą w nim żądzą mordowania. „Czy wiesz, — powiada do żony, — poco istnieje wojna, dlaczego wojna będzie zawsze? — żeby się ludzie mogli zabijać“. Już te słowa świadczą dobitnie, że mamy ód czynienia z manjakiem.

Upewnia nas w tem mniemaniu rodzaj popełnianych przez niego zbrodni. Ksawery zabija na froncie więźnia, podejrzanego o szpiegostwo; czyni to pod wpływem psychozy wojennej, raczej odruchowo, niż świadomie. Poraz drugi zabija przyjaciela, który go tą zbrodnią szantażował. Zabija rozmyślnie, z premedytacją, z umiejętnem wykorzystaniem pozorów, w celu uzyskania niższego wymiaru kary. I ta druga zbrodnia nie jest jednak wywołana koniecznością życiową. Stoimy ciągle wobec faktów klinicznych, ciekawych przede wszystkim dla psychjatri. Chorobliwość Ksawerego kurczy nam jego bohaterką postać do pospolitych rozmiarów kandydata na kaftan bezpieczeństwa. Tam, gdzie się zaczyna szpital, urywa się dramat. Człowiek, nieodpowiedzialny za swoje czyny, przestaje być człowiekiem tragicznym: jest ślepem narzędziem tkwiących w nim sił fatalnych.

Za pośrednictwem tego fatalizmu, który snuje się po scenie w ciągu dwu pierwszych aktów, niby grecka Ananke, udało się poetce wydobyć potężne akcenty grozy, jak w starożytnym teatrze. Ale, niestety, w trzecim akcie Strindberg zlizował Aj-schylosa...

Rzecz ciekawa, jakimi dziwnymi drogami chodzi twórcza myśl ludzka. Ostatnia zbrodnia Ksawerego rehabilituje go niejako w naszych oczach, jako człowieka. Jest to pierwsza jego „normalna“ zbrodnia, popełniona naprawdę w stanie afektu, w położeniu bez wyjścia, w obronie własnego prawa do życia. Ksawery w hierarchji zbrodniczości podnosi się o szczebel wyżej, ale dyskredytuje teorię o „urodzonym zbrodniarzu“. W jego sytuacji napewno niejedyn szlachetny, lecz nieopanowany człowiek zabiłby rywala.

Problemat zbrodni to jest właśnie ten kamień, na którym stąpiło się ostrze dialektyki autorki, ale z którego jej talent wykrzesał snopy olśniewających iskier. Przy tem starciu się z niezbadaną tajemnicą człowieka, Nalkowska miała sposobność otworzyć przed nami wnętrze serca ludzkiego, a czyniła to chwilami z wstrząsającą prostotą bezpośredniego przeżycia, wobec której błędna jaskrawe irracjonalizmy jej teoryj psychoanalitycznych.

Tylko miernoty asekurowane są od wielkich błędów. Przy wymierzaniu dystansu od zła do śmietnika trudno popełnić omyłkę w rachunku, ale gdy się sondują przepaść, łatwo ulec zawrotowi głowy.

Chwała Bogu, że są jeszcze u nas ludzie, których kusi głębia i że jednym z tych śmiałków jest właśnie kobieta.

Wykonanie sztuki nie stało na poziomie jej wartości artystycznych. Opracowywano ją widać z początku dla teatru Nowego, w stylu konwersacyjno-dyskretnym, a ponieważ ona sama przez się oparta jest na tonach przyciszonych, zwierzeniowych, więc ten tłumik na tłumik zamazał pewne pierwszorzędne efekty werbalne, zamiast je uwypuklić.

Z wykonawców najgłębiej i najtrafniej ujął swą rolę Chmieliński, jako ojciec, który nie przebacza. Umiał połączyć ośchłość duszy urzędniczej z wzniosłym patosem męczeństwa, uczłowiczającą tę postać potworną. Węgrzyn z nadto podkreślał zbrodniczą patologiczność Ksawerego. Monika Gromnickiej była okazem zbyt „zdrowej“ kobiety, aby mogła ulec „fascynacji“ zbrodni w myśl założeń autorki. Lindorfówna z wdziękiem i bezpośredniością zagrała rolę Broni, a w ostatniej kulminacyjnej scenie środkami mimicznymi wywołała właściwy efekt grozy. Łuszczewski, jako „kryształowy“ kochanek, był dostatecznie przezroczysty, aby przestać być zajmującym.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE ZWIĄZKU ZAWODOWEGO KOBIET POLSKICH, PRACUJĄCYCH W HANDLU I BIUROWOŚCI.

W niedzielę 12 kwietnia 1931 r. Związek Zawodowy Kobiół Polskich, pracujących w Handlu i Biurowości, obchodził Jubileusz 25-ciolecia swego istnienia. O godz. 10-ej rano odprawiona została na intencję Związku Msza św. w kościele św. Krzyża, na którą przybyli ze sztandarem zarząd, członkinie, założycielki oraz zaproszeni goście.

Wieczorem w lokalu własnym, przybranym bogato zielenią (Chmielna 10), odbyło się uroczyste zebranie, które łaskawie zaszczylicili swą obecnością przedstawiciele: Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, Pana Prezydenta m. st. Warszawy, oraz liczni delegaci Związków i Stowarzyszeń zaprzyjaźnionych.

Wstępne przemówienie wygłosiła wice-prezeska Związku p. Michałina Tarnowska, witając w imieniu Zarządu i Komitetu Obchodu licznie przybyłych gości, poczem zebrani uczcili przez powstanie z miejsc pamięć zmarłych członkiń Związku.

Pani Zofja Miklaszewska przeczytała treściwe sprawozdanie z 25-cio letniej działalności Związku.

Związek powstał dnia 27 grudnia 1905 roku.

Działalność Związku szła w dwóch kierunkach: wewnętrznym i zewnętrznym.

Działalność wewnętrzna polegała na skupieniu jaknajwiększej liczby kobiet, pracujących w biurach, wytworzeniu między nimi serdecznej łączności, organizowaniu kursów i wykładów w celu ułatwienia dokończania się; na pomocy materialnej, szczególnie w czasie wojny, głodu, bezrobocia, wreszcie na dostarczaniu rozrywek umysłowych, towarzyskich i artystycznych. Bywały lata, w których po 100 członkiń pracowało w różnych komisjach i sekcjach, oprócz stałych władz Związku.

Działalność zewnętrzna polegała na wywalczaniu w słowie i piśmie słusznych praw dla kobiety pracującej, w uczestnictwie w zjazdach, w kongresach międzynarodowych, w ukrytej, a uciążliwej służbie społecznej podczas rządów i prześladowań rosyjskich, a szczególnie w czasach wielkiej wojny i przy powstawaniu Państwa Polskiego. Związek był pierwszym Związkiem czysto kobiecym w Polsce. Tutaj kobiety miały pole do wyrabiania się i przygotowywania do pracy o szerszym zakresie. Wiele członkiń zajęło z czasem wybitne i poważne stanowiska, organizowało rozmaitego rodzaju zrzeszenia kobiece.

Potrzeba i pożytek istnienia Związku Zawodowego Kobiet Polskich, pracujących w Handlu i Biurowości, uwidacznia się szczególnie w pracach zbiorowych.

Związek służy sprawie kobiecej, służy społeczeństwu w miarę sił i możliwości, przetrwał wiele ciężkich chwil, nie złożył nigdy z raz wytkniętej drogi ku pożytkowi kobiet i ku chwale Ojczyzny.

Zkolei zabierali głos przedstawiciele władz rządowych i municypalnych oraz delegaci zaproszonych Związków.

Po części oficjalnej odbył się koncert.

W bardzo miłym nastroju uroczystość przeciągnęła się do północy.

ODZNACZONE.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej nadał ostatnio cały szereg odznaczeń za zasługi patriotyczne, notujemy w ich liczbie następujące nazwiska kobiece: p. Wanda Gertzówna — Krzyż Niepodległości z mieczami; Stefanja Brodzka, Genowefa Brzezińska, Zofja Sikorska, Jaxa-Bykowska — Krzyż Niepodległości bez mieczów; Marja Kuncewiczowa (współpracowniczka „Bluszczu“), Marja Leśniewska, Teodora Męczkowska, Lucyna Piaskowska, Ewa Szelburg-Ostrowska-Zarebina (współpracow-

niczka „Bluszczu“), Wanda Twarowska-Kamocka, Anna Zahorska — Medal Niepodległości.

WYŻSZE KOLEGJUM DLA ROBOTNIC.

— Ja przecież mam taki sam mózg, jak pani i miałam wielką ochotę do nauki, ale czyż robotnica może się uczyć!

Temi słowami odezwała się jedna z młodych robotnic do Miss Megan Lloyd George, podczas jej wiecu kandydackiego, przed dwoma laty. Posłanki wzięły to przemówienie pod uwagę i już w rok potem, za inicjatywą związków kobiecych, powstała w Surbiton szkoła, zwana Hillcroft College, dla robotnic, pragnących zdobyć wyższe wykształcenie.

O organizacji i programie tego College pisaliśmy już w roku zeszłym na tem miejscu. Obecnie pisma angielskie podają rezultaty pierwszego roku nauki. Słuchaczek było 200, w wieku od 21 — 42 lat, rekrutujących się z najrozmaitszych zawodów: krawcowe, robotnice fabryczne, sklepowe, kelnerki, pielegniarki i służące domowe.

Jako krytykę uczelni, wysuwano argument, że zdobycie pewnej sumy wiedzy zniechęci słuchaczki do poprzednio praktykowanych zawodów. Obawy te okazały się bezpodstawne. Więcej, niż połowa kobiet objęła, po skończeniu szkoły, poprzednią pracę, 53 powróciły nawet do tego samego zakładu, otrzymując, na zasadzie zdobytego wykształcenia, lepsze posady. Dwie złożyły egzamin, wymagany do uniwersytetu w Oxfordzie, z tych jedna wstąpiła na wydział historii nowoczesnej, druga starożytnej, dwanaście zapisało się, jako wolne słuchaczki na wydział nauk społecznych, będą z nich napewno dzielne pracownice, którym Hillcroft College umożliwiło wstąpienie na wyższe studia.

AMERYKAŃSKA KRÓLOWA ŻEGLAREK.

Miss Beatrice See z Los Angeles zdobyła pierwszeństwo w mistrzostwach kierowania żagłówką w południowej Kalifornii. Na ilustracji uroczą Miss ze zdobytymi nagrodami.





Z MUZYKI.

Kwartet muzyczny, prowadzony przez kobietę: J. Dubiska — pierwsze skrzypce, Z. Adamska — wiolonczela, M. Fliederbaum — drugie skrzypce, A. Szalewski — altówka.

PIATILETKA REGULUJE DAMSKĄ MODĘ.

Podczas gdy cały świat pragnie podnieść przemysł włókienniczy, wskutek czego wielcy twórcy mody postanowili przedłużyć suknie damskie, wprowadzając modę długich tualet wieczorowych i znacznie dłuższych sukien dziennych, Sowietki postanowiły „oszczędność“ materiałów. Stalin nakazał niedawno, aby wszystkie kobiety nosiły suknie przed kolana, co pozwoli wyrabiać kilkaset milionów tkanin mniej rocznie!

CHEMJA W MAŁŻEŃSTWIE.

Wiadomo, jak obecnie rozwija się wiedza eugeniczna i jak dąży do określenia charakterów i skłonności ludzkich, w celu racjonalnego obrania zawodu a także wyboru w małżeństwie. Do pomocy eugenika przybrała sobie wiele innych gałęzi nauki, jak medycyna, psychologia, psychoanaliza, psychotechnika. Obecnie przybywa jej jeszcze chemja. Lekarka angielska, pani Tulley Yonge, uczyniła odkrycie, że przewaga pewnych składników chemicznych w organizmie ludzkim wpływa bardzo poważnie na charakter i psychikę danego osobnika. Czynniki te, zasadnicze w liczbie szesnastu, składają się, według wzajemnych kombinacji cyfrowych, na dwadzieścia dwa główne typy chemiczne, które wykazuje, przy pomocy nowoczesnych metod, analiza krwi. Są więc typy: wapienne, azotowe, żelazne, węglowe, w miarę, jak w składzie krwi przeważa dany czynnik. Typ „wapienny“ np., to ludzie z predyspozycją do poważnej kultury umysłowej, zamiłowaniu w pracy i życiu spokojnym, domowym, z lekką skłonnością do mizantropji i melancholji; „Azotowcy“, przeciwnie, lubią zabawy, życie poza domem, pracę nocną, późne wstawanie, ciągłą nowość i od-

mianę; podobnie ci, u których we krwi przeważa żelazo. Niech więc Bóg broni, mówi pani Tulley Yonge, człowieka „żelaznego“ lub „azotowego“ przed wyborem żony z gatunku chemicznie „wapiennego“; nigdy się nie porozumieją i zawsze wzajemne upodobania będą sobie deptały po nagniotkach!

Wszystko to może i prawda, ale jak się mają wreszcie do tego ustosunkować biedne młode pary? Dotychczasowa eugenika nakazuje (i najzupełniej słusznie) pobierać się tylko ludziami zdrowym; dochodzą do tego jeszcze wymagania intelektu, środowiska, rozsądku, ciężkie czasy, niewielka chęć kawalerów do żeniactwa... mało: masz, jeszcze chemja! Podoba mi się młody człowiek, cóż, ja jestem azot a on wapno, lub naodwrot! Stanowczo za wiele już przeszkód!

Żart na stronę! odkrycie pani dr. Tulley ma swoją dobrą i ważną stronę. Nie powstrzyma ono zapewne młodych ludzi o przeciwnych sobie typach chemicznych od zawierania związków, które za dobre uzna zmysł rozsądku, a przede wszystkim miłość, ale taka chemiczna analiza rozpoznawcza przyczynić się może do wzajemnych ustępstw, opartych na dokładnej znajomości różnych właściwości charakteru, na wiedzy, że nie z kaprysem, ale z żelaznymi wymogami organizmu ma się do czynienia i do nich zastosować trzeba wzajemne postępowanie w życiu wspólnem.

Z UBIEGLEGO TYGODNIA.

Znów upadła jedna monarchja.

Ruch republikański w Hiszpanji okazał się silniejszy, niż można było przypuszczać; przewycięzył on nie tylko monarchję dynastji obecnie panującej, ale i partję Karlistów, potomków Ferdynanda VII.

Bezpośrednią przyczyną upadku króla Alfonsa XIII stały się wybory komunalne, które przyniosły druzgoczącą większość republikańcom. Łatwo było przewidzieć, że parlament, który na skutek ostatnich rozruchów rewolucyjnych postanowił zwołać w czerwcu r. b., uchwali poprostu republikę w Hiszpanji. Król Alfons postanowił więc uniknąć detronizacji i abdykował.

Pierwsze wiadomości, które nadeszły, głosiły, że abdykował zupełnie, za siebie i dynastję. Obecnie jednak stało się wiadome, że manifest królewski brzmi inaczej. Alfons XIII stwierdza, że, straciwszy miłość kraju, wierzy jednak, iż nastroj ten jest *chwilowy*, nie zrzeka się więc swych praw, które są dorobkiem historii, ale zawiesza sprawowanie władzy i opuszcza kraj, przyczem będzie oczekiwał, jak wypowie się Hiszpanja, uznając, że jest ona jedyną panią swego losu i swej przyszłości.

Niema co, forma abdykacji bardzo nowoczesna i demokratyczna! Praktycznie jednak wychodzi to na jedno, zwłaszcza, że nowy rząd premjera Zamorrry stoi pod ochroną setek tysięcy republikańców i socjalistów, którzy wcale nie mają ochoty nawracać do świeżo obalonego ustroju. Rząd ogłosił już statut republiki hiszpańskiej i zamierza zwołać parlament, w którego ręce złoży swą władzę i losy kraju. Armja, stoi również przy rządzie, wszędzie panuje spokój i porządek.

Znamienną sprawą w tym nowym porządku jest ogłoszenie się Katalonji oddzielną republiką, która będzie tylko wchodziła w skład federacji hiszpańskiej; prezydentem tej prowincjonalnej rzeczypospolitej został pułkownik Macia.

Ta tendencja federalistycznych republik zapanowała obecnie wśród ludów hiszpańskich i portugalskich. Dobitym wyrazem tych dążeń jest bunt na Maderze. Piękna ta wyspa żąda również usamodzielnienia z wejściem tylko, jako oddzielną jednostką federacyjną, do republiki portugalskiej. Obok Madery, stawiają te same żądania i Azory.

Jeżeli przypomnimy sobie, że za dwa, trzy tygodnie wejdzie na forum Rady Ligi Narodów sprawa Anshlusu austriacko-niemieckiego, to musimy przyznać, że późna a zimna wiosna tegoroczna zapowiada się w polityce międzynarodowej niejagorzej gorąco!

NASZA MÓWNIKA

Trudne zadanie (w odpowiedzi „Rozgoryczenie p. S. F.”)

Wezwanie Pani zwrócone z takim zaufaniem do „starszych wychowawczyń”, skłania mnie do dorzucenia od siebie kilku rad do tych, jakie otrzyma Pani zapewne w „Naszej Mównicy”, poruszając tak doniosły temat.

Przedewszystkiem, pragnę Panią uspokoić i pocieszyć nadzieją dobrych wyników Jej starań i trudów, gdyż widzę w Jej artykule wielkie poczucie odpowiedzialności za podjętą pracę i wiele jak najlepszych chęci. Takie wysiłki nie mogą pójść na marne.

Otóż, najpierw radziłabym Pani przeczytać książkę filozofa francuskiego Perez'a, p. t. „Pierwsze trzy lata w wychowaniu”. Książka ta tak silnie przekona Panią, iż wszystkie wady dziecka, to nietylko jego wina, ile jego krzywda, spowodowana nietylko początkowym złem wychowaniem, lecz zapewne i złem dziedzictwem, że w sercu Pani, zamiast „rozgoryczenia”, obudzi się wielkie dla dziecka współczucie.

Przyjdzie to Pani niezbyt trudno, gdyż takie uczucie istnieje już w Jej sercu, skoro pisze Pani tak trafnie: „chciałabym znaleźć lekarstwo”.

Wszelkie wady można rzeczywiście nazwać chorobami duszy, wśród których kłamstwo należy do najtrudniej uleczalnych! I, co smutniejsze, że skłonność do niego, zwłaszcza ta wrodzona, bo odziedziczona, pozostaje w charakterze, jako brak prawości, z którym taki biedny obciążony człowiek musi walczyć do śmierci i ciągle czuwać nad sobą.

Zadaniem wychowania jest właśnie rozbudzenie woli wychowanka do tego czuwania i walki, podtrzymywanie dobrych chęci w tym kierunku i wlewanie nadziei w skuteczność takiej pracy nad sobą.

Takie zrozumienie tej sprawy, „nastawi”, że się tak wyrażę, inaczej duszę Pani względem dziecka. Wówczas zamiast „rozgoryczenia” wstąpi w Jej duszę wielkie, szczere współczucie. A dziecko to odczuje, nawet najmniej prawe, bo w tem jest sprawiedliwość, czyli Prawda, która zawsze zwycięża i zawsze pociąga swym urokiem.

Oprócz wyżej wymienionej książki Perez'a, poleciłabym Pani przesliczne i mądre książki szwajcarskiego uczonego Foerstera, np. „Wychowanie człowieka” i inne, a także francuza Demolins: „Potęgą wychowania”.

Książki te nauczyły mnie przemawiania dzieciom do rozumu w ten sposób, że odczuwały one moje jak najlepsze względem nich chęci i zupełną bezinteresowność we wszystkim, czego od nich żądałam. Owszem, zaczynały rozumieć własny swój w tem wszystkim interes. To skłaniało je do, może nawet mimowolnego na początek, posłuszeństwa, co już było wielką wygraną.

Ale, jak wyżej wspominałam, kłamstwo jest najtrudniejsze do wyleczenia. To też opadały mi nieraz ręce i również zakradało się do duszy „rozgoryczenie”. Wprawdzie już nie do dzieci, bo z tego wyleczył mnie Perez, lecz do ich rodziców, nieumiejących kochać rozumnie i psujących mi ciągle to, co starałam się naprawić.

Szczególniej miałam do nich żal o to, że nie myślą o swym ogromnym wpływie na naturę dziecka, zanim ono jeszcze przyjdzie na świat, aby, jak uczy Perez, dać mu w dziedzictwie skłonności jak najlepsze i panowanie nad sobą, ułatwiające później sprawę wychowania nietylko nauczycielowi, lecz przedewszystkiem im samym. Bo nauczycielka-wychowawczyni może usunąć się od takiego trudnego do wychowania dziecka, ale matkę mężczyzny ono bardzo długo, czasem aż do grobu. Więc żal dziecka i matki.

Lecz buntowałam się tak tylko na początku mej pracy, gdy byłam młoda i mniej doświadczona. Później, gdy jeszcze inne książki (treści religijnej) i praca nad sobą pomogły mi do

wniknięcia aż do głębi duszy ludzkiej, rozumiałam wielkie trudności i konieczność ogromnych wysiłków, jakich wymaga przełamywanie wrodzonych ujemnych skłonności, lub nawyków, stających się naprawdę „drugą naturą”.

Wówczas zaczął znikać również żal do matek i ojców. Zrozumiałam bowiem, że taka matka też nie zawsze może panować nad sobą i nie wszystko może zmienić w sobie, zwłaszcza, jeśli nie pomaga jej w tem ojeiec.

Zrozumiałam też, że na wady dziecka niema żadnego „radykałnego” środka, lecz że trzeba rany te cierpliwie goić balsamem szczerego współczucia przy powtarzających się upadkach, a pełnem radości uznaniem z każdego, nawet bezwiednego, omińnięcia upadku. Bo zanim dusza dziecka rozbudzi się do ochotnej pracy nad sobą i nauczy się odczuwać tę najpiękniejszą radość, jaką daje zwycięstwo nad sobą samym, trzeba chwycić każdą sposobność uznania i pochwały, a czasem nawet trzeba czegoś nie widzieć, gdy nerwy dziecka są bardzo napięte.

Nie można bowiem bezustannie gnębić dziecka ciągłym wypominaniem mu jego wad. To nie byłoby sprawiedliwe, wobec wyżej wykazanych trudności, zatem, jak każda „nieprawda”, zgóry skazane na niepowodzenie. Obrzydziłoby wprost cnotę, mimo jej piękna.

Trzeba postarać się koniecznie o miły, przyjazny nastrój, jakby sprzymierzony z dzieckiem, przeciw jego wrogowi, złu. A wtedy już wygrałyśmy, bo postęp pewny. Jest on bardzo powolny, często ledwie widoczny i przegradzany upadkami, bo inaczej być nie może. Ale jest!

Niestety, nierzadko sami rodzice psują wszystko nietylko przez nietakt, lecz i przez zazdrość o serce dziecka, które bardzo przywiązuje się do osoby, prowadzącej je „ad astra”.

Och! wtedy trzeba być naprawdę bohaterką, aby trwać, bo przecież musi się lawirować między prawdą, a autorytetem rodziców, którego naruszać nie wolno. Trzeba ciągle zaczynać wszystko nanowo. Praca to bardzo trudna i, zdawałoby się, aż beznadziejna, więc ciężka i nieuznana. Ale nie wolno opuszczać rąk, ani tracić nadziei, bo potęga Prawdy i Dobra jest cudowna.

Mam przekonanie jednakże, że nie możnaby zdobyć się na tak ofiarną pracę bez wiary. Nie tej, polegającej na zewnętrznych formach, lecz tej, która wskazuje drogę „w Jego ślady”.

I do duszy dziecka to droga jedynie najpewniejsza i najniezawodniejsza. B. B.

W sprawie „Priory”.

Przeczytawszy w jednym z numerów „Bluszczu” notatkę o żeńskiej korporacji „Priora”, chciałam zabrać głos w tej sprawie, jako jedna ze studentek (mam wrażenie, licznych), które na sprawę żeńskich korporacji zapatrują się odmiennie.

Otóż, jak wiadomo, głównem zadaniem korporacji męskich jest organizowanie życia koleżeńkiego. Sam pomysł zrzeszenia studentek w celach podobnych, a więc czy to towarzyskich, czy też naukowych (to ostatnie robią zresztą bardzo owocnie pracujące Akademickie Koła Naukowe), jest niewątpliwie dobry, dla czegoż jednak „Priorystki” tak niewolniczo naśladowują kolegów? Dlaczego „Priora” nie nazwała się związkami, stowarzyszeniem, towarzystwem, tylko korporacją? Dlaczego nie „Pierwsza”, a „Priora”? Dlaczego naśladuje uświęcone tradycją zwyczaje korporantów: nosi dekle, bandy, urządza kwatery i komersy?

Doprawdy, wtedy, gdy pierwsze studentki wkraczały w mury wyższych uczelni, rozumiały były różne naśladownictwa obyczajów męskich, przeróżne naiwności w pojmowaniu równouprawnienia, jako możliwość, ba! nawet konieczność naśladowania „panów stworzenia” w tem wszystkiem, co było najmniej odpowiednie do naśladowania dla kobiet. Dzisiaj stać nas chyba na własny „styl” życia, na oryginalne, a bardziej nam odpowiednie formy organizacyjne. Baśka Korewa.

Stud. U. W.

O KOBIECIE WSPÓŁCZESNEJ I KOBIECZOŚCI JAKO TAKIEJ

„Dzisiaj pracą i zarobkiem dochodzi się do najwznioślejszych celów. Choćby się, jak po zacyciu chininy bez opłatka, wzdrygnęła, moja Wando rozmarzona, to jednak tego nie przeprzesz, że pieniądze są wolnością. Pieniędźmi, swojemi pieniędźmi, zarobionemi pieniędźmi, zmusi kiedyś kobieta napoleońskich francuzów do zmiany całych rozdziałów w sławnym cesarskim kodeksie“.

(z listów Narcyzy Żmichowskiej).

O kobiecie współczesnej wciąż się mówi i pisze tyle złego i dobrego, że samo omówienie tego sprzecznego materiału musiałoby zająć całe tomy.

Różnie różni rozumieją współczesność. Bardzo często obowiązującym mianem „kobiety współczesnej“ zaszczycza się wymalowaną lale, której jedyną namiętnością — stroje, jedynym celem — zabawa. Otóż jakkolwiek podobne egzemplarze bezsprzecznie nie należą w naszej epoce do rzadkości, błędem jest uważanie ich za wykwit współczesności, gdyż istniały one zawsze. To, co zasadniczo odróżnia kobietę współczesną od długiego łańcucha jej poprzedniczek, to jej zdolność do pracy zarobkowej, a co za tem idzie, jej materialne uniezależnienie od mężczyzny.

Kobieta współczesna nie potrzebuje już wybierać między zamażpójściem a klasztorem. Nie potrzebuje łapać męża za wszelką cenę, aby uniknąć zostania na starość rezydentką. Jeżeli ma wygórowane ambicje, nie potrzebuje szukać wielkiego człowieka, któremu by mogła być natchnieniem — może sama stać się wielkim człowiekiem. Nie potrzebuje się uciekać do szeregu poniżających pochlebstw i kłamstewek w celu zdobycia nowej sukni lub kapelusza — może sama zarobić na swoje suknie i kapelusze. Mężczyzna, pan stworzenia, nie jest już panem jej życia i śmierci: kobieta może mu śmiało spoglądać w oczy, jak równy równemu. Tem gorzej dla niej, jeżeli niezawsze to potrafi.

Wyzwolenie materialne i moralne kobiety przyszło tak nagle, że nie wszystkie umiały dostroić się w sposobie bycia do zmiany sytuacji. Zwłaszcza trudno przychodzi to naszym paniom, wychowanym w klasztorach, gdzie je nauczono, że każda dłuższa rozmowa sam na sam z mężczyzną może się stać grzechem śmiertelnym. Przeniesione w nowe otoczenie, zmuszone do stałego obcowania z wykładowcami, zwierzchnikami i kolegami płci męskiej, czują się, jak ryby, wyjęte z wody — brak im tchu. Nie raz zdolna pracownica, lub studentka, będąca chlubą swoich profesorów, w zwykłej rozmowie z kolegą miesza się, rumieni, błędnie, dorozumiewa się dwuznaczników w słowach najprostszyc, obraża się tam, gdzie nie było najlżejszej intencji do obrazy.

Wreszcie, aby jej nie posądzono o prowincjonalność i zacofanie, ni stąd, ni zowąd zaczyna zachowywać się demonstracyjnie i wyzywająco, w sposób nieskończenie głupiutki. Prostu, nie może trafić na ton właściwy.

Coraz rzadszem (na szczęście) zjawiskiem staje się „anioł biurowy“, w złotej przepasce na rozwichrzonych lokach, w głęboko dekolowanej, a cokolwiek przybrudzonej sukience. Znikają szeroko rozcięte, gazowe rękawy, zmiatające cprawda kurz z biurek i dokumentów, lecz i przewracające za jednym zamachem kałamarze; dzwoniące i grzechoczące na obnażonych

ramionach szklane bransoletki, sprawiające dystrakcję kolegom i tak już uskarżającym się na ból głowy z powodu mocnych perfum, używanych przez koleżanki.

Dziesięć lat wspólnej z mężczyznami pracy wychowało w Polsce szereg kobiet, które natrafiły na swój styl właściwy. Takich, które wiedzą, że nie wolno pięknej pani robić z biura salonu i wymagać od kolegów tej nadszkakującej galanterji i wyrzekania się drobnych wygod i przyzwyczajzeń, z których mężczyźni zwykle ofiarnie rezygnują podczas krótkich posiedzeń towarzyskich. Kobiecie pracującej nie wolno nie znosić dymu, gorszyć się w upalny dzień zdjętą marynarką, zanosić się histerycznym płaczem z powodu uwagi szefa... nie wolno płatnej pracowniczce żądać jakichkolwiek ulg, czy przywilejów, z powodu swojej kobiecności.

Zarówno kobietę pracującą, jak i tę, która się do tej pracy drogą studjów przygotowuje, powinien cechować wygląd poprawny, jak mówią Angliki „business like“; spokojna pewność siebie, bez cienia arogancji; zyczliwość wobec wszystkich kolegów, bez różnicy płci; rzeczowa uprzejmość wobec interesantów. Nie zawsze tak jest — ale zawsze tak być powinno.

Okazanie, że się jest wrażliwą na zaczepki i dwuznaczne żarciki, zwykle podnieca otoczenie do dalszych żarcików i zaczepek. Dobrze wychowany człowiek nie powinien sobie pozwalać na niewłaściwy ton wobec koleżanek, ale też nie wszyscy koledzy bywają dobrze wychowani. Tylko wielka przytomność umysłu, dyktująca we właściwej chwili cięte odpowiedzi, oraz nieprzebrane zasoby cierpliwości i taktu mogą zjednać kobiecie uznanie jej męskich współpracowników i zwierzchników.

Polak, niezmiernie rycerski dla pań na gruncie salonowym, rzadko nawet usiłuje ukryć swoją niechęć względem kobiet pracujących. Uważa je za wynaturzone dziwolągi lub istoty, szukające, pod pozorem pracy, wrażeń erotycznych; w najlepszym razie za nieszkodliwe czupiradła i gęsi, udające orlice. Jeżeli któraś z koleżanek, nawet najbardziej ogólnie lubianych, ścina się na egzaminie — wśród męskiej polowy słuchaczy powstaje niczem niezmącona uciecha: — Dobrze jej tak! A do kuchni! A do dzieci! Widziane to rzeczy, żeby się ładnym dziewczętom zachciewało trupy krajać, czy mosty budować?!!! Niech się baby nie biorą do nieswoich rzeczy!

Podobne poglądy mewają zwolenników nawet wśród ciała profesorskiego. Nowicjuszek ostrzega się zgóry, że na nic wszystkie wysiłki, bo taka a taka sława naukowa zwykła „ścinać“ kobiety na egzaminie z upodobania i zasady. Nie dziw też, że niejednej, podobnie uprzedzonej młodej osobce zrzędnie mina i że, stając oko w oko z groźną a wrogą potęgą, traci nieraz cały zasób mozolnie zdobywanej wiedzy i z rozpaczycy ucieka się do najmniej zaszczytnej z kobiecych broni — kokieterji. Rezultat tej strategji bywa oplakany: zły stopień i nielitościwe drwiny kolegów.

— Zapomniała języka w gębie i zaczyna się mizdrzyć... A to gęś!

Zapewne, że usiłowanie załatania luk swych umiejętności kokieterją jest to bardzo głupi sposób, ale bo też i niełatwa rzecz, po tylu wiekach niewolnictwa, zapomnieć doszczętnie o niewolniczych sposobach walki.

Zresztą, przecie panowie nieraz uskarżają się na brak zalotności w kobietach współczesnych, identyfikując go z brakiem kobiecności. Te utyskiwania na

brak kobiecości stają się źródłem zabawnych nieporozumień. Mało jest słów, pod któreby można podkładać tak dowolne i równorodne znaczenia, jak pod pojęcie: „kobiecość“.

Dla jednych znaczy ono: dobroć, łagodność, wyrozumiałość, macierzyństwo... Dla innych: bezmyślność, z niczem nie liczący się kaprys, tak zwana „kobieca logika“, zalotność, mizdrzenie...

Dla jeszcze innych: wdzięk nieuchwytny, urok niedający się określić, bezradność, subtelność, wrażliwość... I dlatego, kiedy ktoś narzeka na brak kobiecości w kobietach współczesnych, trudno się odrazu domyślić, o jakie mianowicie walory kobiecości w danym wypadku chodzi: czy te od kuchni i kołyski? czy te ze „Spazmów Modnych?“ czy może jeszcze inne?...

Najprościej byłoby przypuścić, że chodzi o cechy dodatnie, ale niestety, życie i doświadczenie uczą nas, że bynajmniej nie należą do wyjątków i takie egzemplarze płci silnej, na które najbardziej pociągająco działa kobiecość w znaczeniu ujemnym. Na szczęście, kobieta, niezależnie od materjalnie, nie potrzebuje się już tak bardzo liczyć ze zmiennymi upodobaniami panów stworzenia.

Wszystkie psychiczne odmiany kobiecości zawsze istniały i istnieć będą, podobnie, jak zawsze, wbrew najkategoryczniejszym nakazom mody, zawsze istniały i istnieją różne typy fizyczne: kobiety grube i chude, śniade brunetki i białe blondynki...

Czasem, w myśl ostatnich nakazów Paryża, ktoś wysznuruje się nadmierne, ufarbuje sobie włosy, straci kosztem wielkich udręczeń parę kilo wagi, lub da sobie wyskubać brwi... ale przecież istoty rzeczy to nie zmienia. Kobiety powojenne nie są ani mniej, ani nawet inaczej kobiece, niż ich matki, babki i prababki, tylko zmiana ekonomicznych warunków życia zmusza je do hamowania zewnętrznych objawów tej kobiecości. Najbardziej zyskują na tem mężczyźni. Wątpię, aby którykolwiek z panów zechciał znów ujrzeć przy sąsiednim biurku rozkosznie rozkapryszony, trzepocące się i szczebiocące stworzenie, które muby przeskadzał i dym, i przeciąg, i wogóle wszystko... zamiast poprawnej i sumiennej współpracownicy, jaką przywykł przy tem biurku widywać. Kobiety, w miarę nabierania samodzielności, ucząc się radzić sobie same i to radzić coraz lepiej, przeważnie zatracają ową miękkość i niezdecydowanie w sposobie bycia, tak czarujące panów w salonie i tak bardzo nieznośne w koleżeńskim obcowaniu. Nie znaczy to, aby każda samodzielna kobieta miała koniecznie zachowywać się i wyglądać, jak hic mulier, po polsku Herod-baba.

Gdyby zresztą moda na ową bezradną, uroczą zalęknioną, zalotnie rozkapryszoną kobiecość miała powrócić — instytucje, zatrudniające większą ilość pracowników płci obojga, musiałyby się zamienić w istne piekła. Rozkoszne, kobiece urzędniczki, ekspedjentki, asystentki, obrażałyby się co chwila, dostawałyby spazmów i mdlały przy lada scysji z publicznością, czy wymówce zwierzechnika, a personel męski nie mógłby nadażyć w szalonej gonitwie po brom, walerjanę i środki cucące. Zarobiłyby na tem apteki. Ale niech lepiej nie zarabiają, aby tylko znikoma reszta szczebiotliwych aniołków biurowych przeobraziła się jaknajprędzej w sumienne pracownice, zachowujące się rozsądnie i z godnością, niekoniecznie po kobiecemu, ale niezawodnie po ludzku.

Jest to najlepszy sposób zjednania sobie trwałej sympatji otoczenia oraz jedyny — nakazania szacunku.

(dok. nast.)

J. K.

UBRANIE SPORTOWE

Sport! Sport jest w modzie.

Należy do dobrego tonu móc powiedzieć w towarzystwie, że się ma „backhandy prawie tak dobre, jak vorhandy“, lub że już się opanowało crows'a. Sport daje radość i zdrowie, sport przedłuża młodość. Tak, to jest jasne, to się wie dobrze.

Jest jednak jeszcze pewne „ale“. „Ale“, które niejedną kobietę odstrasza od sportu, choć przecie chciałaby ona też przedłużyć swą młodość i też dostać się do tej elity zdrowia, gdzie mówi się takie niezrozumiałe słowa.

Tą przeszkodą jest kosztowność sportu. Składki w klubie nie są jeszcze rzeczą najcięższą — wynoszą zaledwie parę złotych miesięcznie — natomiast przeraża nas koszt ekwipunku. A przecież każda kobieta nie tylko chce uprawiać sport, ale chce jednocześnie ładnie wyglądać. To też przyszła adeptka sportu popatrzy na piękne fotografie z Riwiery i powie sobie, że na takie stroje sportowe nie ma pieniędzy. I projekty sportowania się rozwiały.

Weźmy jednak ołówek do ręki, zrobmy spis ubrań, jakie potrzebne jest kobiecie do sportów, a przekonamy się, że sprawa nie przedstawia się tak groźnie. Trzeba koniecznie zrobić sobie taki plan, gdyż niektóre ubrania będą się nadawały do kilku sportów jednocześnie. Najpierw wymienię strój, potrzebny dla każdego sportu, a potem omówię, co i jak można tu połączyć lub uprościć.

1. *Pływanie*. Kostjum kąpielowy i czepek.

Kostjum najlepszy jest wełniany, gdyż wełna nie ziębi ciała po wyjściu z wody. Kolor kostjumu zależy od upodobania — trzeba jednak unikać barw płowiejących. Czepek gumowy — najlepszy o kształcie hełmu.

2. *Wioślarstwo*. Krótkie spodeńki, koszulka, pantofle, skarpetki, długie spodnie, sweater, beret lub fezik.

Spodeńki ciemne szyje się najczęściej z satyny; koszulka biała bez rękawów, lub z krótkimi rękawkami, może być z satyny, z płótna, lub z t. zw. rogózki. Pantofle najlepsze będą płócienne na sznurkowej podeszwie: podeszwa gumowa lub kauczukowa jest niehigieniczna, zwłaszcza w lecie. Skarpetek używamy, aby ochronić pantofle od potu nóg. Wystarczy zupełnie białe, bawełniane skarpetki.

Wymieniony ekwipunek wystarczy na krótkie przejażdżki w pogodne, ciepłe dni. Przy turystyce wioślarskiej niezbędne jest ciepłe ubranie — spodnie i sweater. Spodnie długie, ciemne, szyjemy sobie z flaneli. Sweater lepszy jest kolorowy, niż biały; dziś, gdy modne są trykotaże szydełkowe lub z drutów — można sobie doskonale samej zrobić ładny pullover. Beret lub lepiej trykotowa czapeczka kolorowa dopełnią stroju wioślarskiego. Na dłuższe wycieczki potrzebny jest ponadto płaszcz nieprzemakalny.

3. *Żeglarstwo*. Tutaj należy się liczyć ze zwyczajami, panującymi na danej łodzi, lub w danym klubie, gdyż stroje żeglarskie bywają różnorodne. Płócienne długie spodnie i wiatrówka, są ubraniem najodpowiedniejszym, gdyż podczas wiatru bywa nieraz b. chłodno, a żeglarstwo nie wymaga tyle ruchu, aby to mogło rozgrzać.

W ciepły dzień wystarczy strój wioślarski.

4. *Gry sportowe*. Krótkie spodeńki, bluzka, pantofle na szurkowej podeszwie, lub miękkie buciki, skarpetki.

Cały ten strój jest taki sam, jak do wio-

ślarsstwa, z wyjątkiem bucików. Przy grach towarzyskich, zwłaszcza przy siatkówce, wystarczą pantofle na sznurkowej podeszwie; przy meczach natomiast, konieczne są skórzane specjalne buty. Ponieważ jednak nikt w pierwszym roku gry nie staje do zawodów, więc nie jest to pilny wydatek.

5. *Lekka atletyka*. Krótkie spódniki, bluzka, pantofle zwykle, pantofle z kołcami na podeszwie, długie spodnie i sweater. I znów cały ten strój jest taki sam, jak wioślarski, oprócz pantofli z kołcami, które są niezbędne, gdy chcemy osiągnąć pewne wyniki.

6. *Tennis*. Sukienka bez rękawów, fezik lub wstążka na głowie, pantofle, skarpetki.

Najwygodniejsza do tenisa jest sukienka jednolita. Dół sukni musi być szeroki, a więc fałdowany lub plisowany. Materiał nie może być zbyt lekki, gdyż wtedy sukienka zabardzo się podnosi przy każdym ruchu. Najlepszy jest woal wełniany, lub gruby jedwab. Pod sukienką oczywiście jasne trykoty. Pończoch dziś nie używamy przy tenisie, gdyż podwiązki krępują ruchy, a „oczka“ jedwabnych pończoch byłyby w stałym niebezpieczeństwie. Zamiast fezika na głowę używa się często tylko przepaski ze wstążki dla przytrzymania włosów.

7. *Turystyka nizinna*. Buciki, skarpetki, spódniczka, bluzka, żakiet lub sweater, płaszcz nieprzemakalny, czapka, plecak.

Podstawą marszu pieszego są buciki. Muszą to być buty z grubej, ale miękkiej skóry, sięgające powyżej kostki, ale nie zachodzące aż na łydkę (wysokość męskich kamaszy). Buty te muszą być obszerne tak, że miarę na nie trzeba brać, stojąc w wełnianej skarpetce. Podwiązki są też rzeczą krępującą w marszu, a najlepsze pończochy drą się od bucika, powodując potem niebezpieczne obtarcia nogi; dlatego też najlepiej jest maszerować w grubych wełnianych skarpetkach. W skarpetki te należy się zaopatrzyć już teraz, gdyż w lecie sklepy chowają do magazynów grubszą wełnę i nie można dostać odpowiednich skarpetek.

Spódniczka powinna być wełniana, gdyż wełna najmniej się gniece i najlepiej wygląda po zmoknięciu i trudach wycieczki. Doskonale nadaje się na wycieczki stary kostjum wełniany — kolor szaro-beżowy jest tu najodpowiedniejszy, gdyż nie znać na nim kurzu i błota. Pod żakiet kładziemy lekką bluzkę z trykotu lub innej tkaniny. Ponieważ przy dłuższych wycieczkach trzeba mieć drugą bluzkę na zmianę, więc bierzemy jedną z nich zupełnie bez rękawów, do marszu w dnie upalne. Jeżeli nie mamy wełnianego żakietu, zastąpimy go sweatrem lub pulloverem.

Nieodzowną rzeczą przy naszym klimacie jest płaszcz nieprzemakalny. Krajowe płaszcze (np. Pepege) są bardzo tanie, to też radzę paniom nie szukać kosztownych „Burberry“, które płowieją na naszym słońcu, a zaopatrzyć się w dwudziestozłotową kreację polskich fabryk.

O rodzaju czapki decyduje gust indywidualny — świetne są baskijskie berety. Sprawę plecaka omówimy kiedy indziej.

8. *Turystyka górską*. Buty grube, podkute, wełniane męskie pończochy, spodnie, sweater, wiatrówka.

Ekwipunkiem do wypraw wysokogórskich nie będą się zajmowała specjalnie, gdyż wycieczki te można odbywać tylko w gronie wytrawnych turystów, a w takim razie nie zrzekną się oni swoich praw do decydowania o ekwipunku nowego członka wyprawy.

Pozostają jeszcze zatem sporty zimowe, o któ-

rych trzeba myśleć teraz, gdy się chce zastosować do nich część letniego ekwipunku.

9. *Ślizgawka*. Buty, spódniczka, sweater.

Buciki ślizgawkowe powinno się mieć osobne, gdyż muszą być one ściśle dopasowane do nogi. Buty po ślizgawce można użyć na wycieczkę, zniżywszy tylko trochę cholewki; odwrotnie jednak nigdy, gdyż po wycieczce zwykle buciki są trochę wykrzywione i nie można się w nich już ślizgać. Spódniczka wełniana musi być szeroka — plisowana lub fałdowana, sweater lub pullover dowolny. Do jazdy figuralnej używa się specjalnego ensemble'u, który jednak jest zupełnie zbyteczny dla przeciętnych łyżwiarek.

10. *Narty*. Buty, skarpetki, spodnie, bluzka, czapka.

O ekwipunku narciarskim pisałam już w zimie. Tu dodam tylko, że buty muszą mieć grubą podeszwę i kwadratowe nosy; spodnie najlepsze są długie.

Odrzuć na pierwszy rzut oka widzimy, że ekwipunek do różnych sportów można ze sobą kombinować. Strój wioślarski jest zarazem lekkoatletycznym i nadaje się do gier sportowych. Buty narciarskie można w lecie używać do turystyki płaskiej i górskiej (okuć gwoździami). Te same skarpetki wełniane wystarczą na oba sezony. Spodnie turystyczne, choć sięgają tylko poza kolano, mogą jednak być użyte do narciarstwa. Pullover jeden wystarczy do wszystkich sportów wszelkich sezonów. Wiatrówka będzie miała zastosowanie w turystyce letniej i zimowej, pieszej czy wodnej. I wreszcie beret baskijski będzie „all round“ sportowym nakryciem głowy.

W ten sposób zrobiony plan całej naszej kampanji sportowej pozwoli nam na zredukowanie wydatków do minimum i uniknięcie kupowania rzeczy zbędnych, które przez jedenaście miesięcy będą leżały w szafie.

W. Prażmowska.

ZJEDNOCZENIE FRANCUSKIE NARODOWE

Właściwa nazwa tego związku, powstałego przed dwoma laty, brzmi: „Fédération nationale“ — i powstał on przez zlanie się całego szeregu stowarzyszeń, pracujących na polu gospodarczego uświadczenia i wykształcenia kobiet.

Weszły do niego: „La vie moins chère“ (życie mniej kosztowne), l'École nationale des économies et de l'épargne“ (szkoła narodowa ekonomji i oszczędności), „la gaie science du foyer“ (wesola nauka ogniska rodzinnego), „l'École de la vie domestique et sociale“ (szkoła życia domowego i społecznego), „les Ecoles ménagères de l'Assistance publique de Saine et Oise“ (szkoły gospodarcze opieki społecznej departamentu Sekwany i Oazy), znane pisemko gospodarcze „Mon chez moi“, Liga Organizacji Gospodarczej, „l'Art ménager“ (Sztuka gospodarska) „l'École ménagère agricole d'Algers (Gospodarcza szkoła rolnicza algijska) i inne.

Wiele z tych stowarzyszeń i instytucyj istniało już przed wojną w różnorodnych warunkach i otoczeniach, co daje im ogromny zasięg doświadczeń praktycznych i wypróbowanych metod pracy. Nie wszystkie stowarzyszenia kobiece-gospodarcze przystąpiły dotąd do Zjednoczenia, stanie się to jednak zapewne, gdyż wszystkie rozumieją, że w zjednoczeniu — siła.

Jeżeli się zainteresowałam tą dosyć nową insty-

tucja francuska, to ze względu na powstający u nas, w Polsce, „Związek Pań Domu“, który ma zjednoczyć wszystkie nasze gospodynie, bez względu na ich stanowisko towarzyskie, ich sympatje polityczne, pod jednym hasłem udoskonalenia metod pracy domowej, ulżenia kobiecie, pani domu i służącym, jej pomocnikom, zastępczyniom i wyręczycielkom w wykonywaniu prac i zajęć, z gospodarstwem i prowadzeniem domu związanych.

Cały ruch gospodarczy, społeczny i rodzinny zaczęły francuzki od gruntownego przygotowania młodzieży żeńskiej do spełniania swych przyszłych obowiązków. Nauka gospodarstwa jest traktowana, jako akcja odbudowy rodziny i wprowadzenia harmonji w społeczeństwie.

W obszernym i wspaniałym pałacu Kondeuszów przy ulicy Monsieur otwarto instytut normalny, z kursem rocznym, kształcący liczne grono dziewcząt, w wieku powyżej lat dziewiętnastu, mających już gruntowne średnie wykształcenie. Część ich przygotowuje się do pracy w domu własnym, inne chcą mieć wiadomości, które wykorzystają w miarę wymagań życiowych otoczenia, w które los je rzuci. W większości staną się krzewicielkami nauki gospodarstwa w szkołach robotniczych i włościańskich, lub będą spełniały obowiązki „wychowawczyń rodzinnych“, niosąc naukę ułatwień pracy gospodarczej do rodzin tych robotników i włościan, pod hasłem: „rodzina jest stworzona dla dziecka“.

W programie mamy wykłady filozofji i moralności, czynniki główne produkcji i ekonomiki współczesnej, kapitał i jego stanowisko obecne, naukę o pracy, jej hierarchjach, warunkach, wynagrodzeniu za nią. Nauki społeczne. Społeczeństwo i jego podstawa — „władza“. Społeczeństwo i siły nadprzyrodzone. Kurs prawa zwyczajowego, prawodawstwo przemysłowe, higjena społeczna, wychowawstwo. Budżet osobisty i rodzinny, jego układ i wykonanie. Odżywianie i nauka gotowania. Dom, jego budowa, urządzenie, utrzymanie, zaspokojenie potrzeb estetycznych. Umiejętność ubierania się. Wybór odpowiednich ubrań, krój, szycie, czyszczenie, reperacje. Nakoniec ćwiczenia w wykładach, które kolejno muszą prowadzić wszystkie uczennice.

Jedno ze stowarzyszeń zjednoczonych „le Mouvement Social“ (Ruch społeczny) w ciągu lat pięciu założyło 145 ośrodków wykształcenia ludowego, rozrzuconych po całej Francji, przeważnie w dzielnicach przemysłowych, i sto pięćdziesiąt jego wychowawczyń udzieliło w jedno i dwumiesięcznych kursach nauki gospodarstwa przeszło 18.000 kobiet. Były to włościanki z głuchych zakątków kraju, a także żony robotników wielkich zakładów przemysłowych, robotnice z fabryk i kopalni.

W porozumieniu z zakładami przemysłowymi robotnice, chcące przesłuchać kurs gospodarczy, nietylko otrzymują na to zezwolenie fabryki, lecz na czas czterech do ośmiu tygodni są zwalniane od pracy, zachowując jednocześnie płacę.

Zakłady przemysłowe ponoszą chętnie ten wydatek przez zrozumienie korzyści moralnych i materialnych, jakie kursy te przynoszą robotnicom.

Jeżeli odeszłam na chwilę od prac, ściśle związanych ze Zjednoczeniem Narodowym, to dlatego, żeby zaznaczyć, jaki ogrom pracy wzięły na siebie poszczególne, należące do niego, stowarzyszenia.

Samo Zjednoczenie prowadzi przede wszystkim gorliwą propagandę potrzeby nauczania gospodarstwa domowego — powszechnego i obowiązkowego, i racjo-

nalnej organizacji zajęć domowych, szczególnie w kierunku oszczędzania i niemarnowania produktów spożywczych i sił kobiety pracującej. Nawołuje do studjowania kwestyj ekonomicznych, spraw oszczędnościowych, uznania pracy gospodyni domu, jako zawodu, wprowadzenia do wyższych zakładów naukowych katedr gospodarstwa domowego.

Nakoniec Zjednoczenie ma za zadanie reprezentację stowarzyszeń gospodarczych francuskich wobec zagranicy, zaznajamianie jej ze swą inicjatywą, planami i pracami, i odwrotnie: wykorzystywanie dorobku innych krajów na tem polu.

Zjednoczenie poruszyło przed Akademią medyczną tak ważną kwestję racjonalnego odżywiania młodzieży w szkołach, internatach i liceach. Na skutek tego memorjału, Akademia wyraziła życzenie, aby przy ministerstwie oświaty została utworzona komisja dla racjonalnego odżywiania młodzieży; zadaniem jej byłoby: zaznajomienie wszystkich zakładów szkolnych z zasadami racjonalnego odżywiania, opracowaniami przez lekarzy i higienistów i zastosowaniami do różnych warunków życia dzieci i młodzieży dorastającej oraz kontrola nad warunkami przechowywania, przyrządzania i podawania pokarmów w tych zakładach.

Te ostatnie, bardzo ważne zadania, o ile wiem, nie wchodzą w program prac przyszłego Związku Pań Domu, a na tem właśnie polu jest u nas bardzo a bardzo wiele do zrobienia.

Pani Elżbieta.

LETNIE SALONY

Balkon i weranda wymagają nietylko dekoracji kwiatowej, ale i umiejętnego urządzenia.

Balkony o powierzchni, sprzeciwiającej się rozmiarom swobodnemu użytkowaniu, takie, na których nie zmieści się nic więcej nad jedno, do dwóch krzesłek — nie wchodzą tutaj w rachubę; natomiast wiele mieszkań zarówno w kamienicach blokowych, jak domkach kolonialnych, willach miejskich i podmiejskich, cieszą się przywilejem balkonów o użytkowych rozmiarach, a nawet i werand, które, odpowiednio zagospodarowane, są prawdziwymi letniami salonami.

Punkt ciężkości gospodarki balkonowo-werandowej — to umiejętny dobór roślin, w którym trzeba się kierować przede wszystkim sezonem i wystawą. Najodpowiedniejsza ze wszystkich wystawa południowa, albo południowo-zachodnia sprzyja vegetacji roślin, hodowanych na balkonach — jedynie ulanki (fuchsja) nietylko obejść się mogą bez słońca, ale rozwijają się prawidłowo tylko w wystawie zacienionej.

Najpiękniejszą, aczkolwiek kosztowną i kłopotliwą jest dekoracja sezonowa, to znaczy obsadzanie skrzynek roślinami od wczesnej wiosny do jesieni. Chcąc iść po tej linii, musimy mieć koniecznie dwa komplety skrzynek. W czasie, gdy w jednych vegetacja jest w pełnym rozwoju, obsadzać trzeba drugie, pozwalając kwiatom zakorzenieć się i wykształcić dorodne paki, zanim oddamy im berło dekoracyjne.

O tem, jakimi kwiatami obsadzimy skrzynki, wyrokować muszą nietylko nasze upodobania i rozpiętość fantazji, ale i znajomość poszczególnych roślin, z których nie każda przystosuje się do niewolniczego poniekąd w szczyptych ramach bytowania i nie każda odpowie narzuconemu jej powołaniu.

Odpowiednie na balkony i werandy są przede wszystkim rośliny o niezbyt wybujałym wzroście, o zdolnościach do silnego rozkrzewiania, obfitego, długotrwałego kwitnienia.

A więc z wczesnych wiosennych: bratki, stokrotki wielkokwiatowe, niezapominajki karłowe. Letnie: pelargonje, petunje (zawieratka), begonje (ukośnica) bulwiaste i drobno kwiatowe; lobelia (stroiczka); nasturcje karłowe i pienne. Kwiaty jesienne: astry karłowe.

Wyżej wymienione rośliny — to podstawa dekoracji balkonów i werand; są one wprawdzie wysoce dekoracyjne, mają jednak zasadniczą, a wspólną im wszystkim wadę: brak wyraźnego, silnego zapachu.

Ale i na to poradzić łatwo. W rogu dużego balkonu można swobodnie ustawić dużą, trójkątną donicę drewnianą, napęlić ją dobrą ziemią inspektową, obsiać brzegi maciejką, a pośrodku posadzić silny krzew tytoniu pachnącego (nicotiana).

Taka niewielka, prosta i dosłownie groszowa plantacja jest z punktu widzenia zapachu niezastąpiona.

Tęm dla barwnej dekoracji kwietnej są wszelkie pnącze, zarówno trwałe, jak jednoroczne.

Z trwałych: wino dzikie samopnące (Ampelopsis Engelmanni); wino dzikie zwyczajne; wino dzikie pachnące (Vitis Odoratissima) i powojniki (Clematis Vitalba). Z jednorocznych: powoje, fasola bukietowa, tykwa i nasturcje pnące.

Pnącze prowadzi się po kratkach drewnianych, przymocowanych do ściany, po drutach, rozpiętych na murze, albo balustradach balkonowych.

Chcąc osłonić balkon, czy odkrytą werandę od wiatru, lub też odseparować się ścianą zieleni od bezpośrednich sąsiadów, prowadzimy pnącze po siatce drucianej, lub kratce drewnianej, przymocowanej z przeciwnej strony balkonu, czy werandy, zwracając jednak uwagę na to, aby zbyt nie cieniować skrzynek z kwiatami, dla których operacja słoneczna jest nieodzowna.

Dodatni efekt dekoracji jest zależny od doboru roślin i barw.

Umiar, wskazany w dziedzinach dekoracji marowej, przestaje tutaj obowiązywać, gdyż śmiałe zestawienia dają ciekawe i estetyczne wyniki. Obrzeżenie szerokiej wstęgi płomiennych pelargonij, czy barwnych begonij bulwiastych szafirową lamówką stroiczki jest w praktyce nie tylko efektowne, ale śliczne. Na tę samą ocenę zasługuje naprzykład, obsadzenie skrzynek różnokolorową zawieratką, lub wielobarwnymi begonjami bulwiastymi.

A teraz przejdźmy do krótkiego omówienia zasadniczej pielęgnacji roślin w okresie wegetacyjnym; więc: obowiązkowe, codzienne obfite polewanie po zachodzie słońca, a w okresach upalnych dwa razy na dobę: wczesnym rankiem i wieczorem; spulchnianie ziemi widelcem o tępych zębach; oczyszczanie ziemi z chwastów; zasilanie w okresie zakwitania i w czasie kwitnienia nawozami sztucznymi, z których najdogodniejszą polecenia jest Sól Chorzowska do kwiatów (mieszanka prawidłowo zestawiona), w skład której wchodzi wszystkie niezbędne dla kwiatów pożywki; obcinanie żółknących liści i przekwitających kwiatów (wytwarzanie nasienia wpływa ujemnie na kwitnienie); usuwanie nadmiernej ilości pąków, przyczem usuwać należy pąki najstarsze.

Aby umożliwić i ułatwić sobie gospodarkę balkonową, trzeba mieć konewkę z gęstym sitkiem; widelec o tępych zębach do spulchniania ziemi; nożyczki

ogrodnicze z chwytym, które ułatwiają usuwanie kwiatów i liści bez zanieczyszczania balkonu; koszyczek z pałaczkiem na obcinanie kwiaty i liście; rozpylacz mgławicowy do zraszania kwiatów, a szczególnie pnączy, których liście tak trudno bez rozpylacza oczyścić z nalotu kurzu i kopcju.

Urządzenie balkonu powinno być wygodne, przystosowane do warunków. Meble koszykowe, drewniane, barwnie lakierowane, leżaki, obite grubym płótnem samodziałowym, lub barwnymi tkaninami; stolik do roboty (na werandach większy — do poobiednich, lub podwieczorkowych herbat); parasol ogrodowy i lampa, umieszczona tak, aby wieczorem można było na werandzie czytać, robić robotę, grać w karty. Jeżeli w domu niema światła elektrycznego, zastąpić go muszą świece w lichtarzach ze szklanymi kloszami.

Meble koszykowe, lub trzciniowe, które tak łatwo zmieniają kolor pod wpływem słońca i wilgoci, trzeba przed ustawieniem na balkonie polakierować bezbarwnym, przezroczystym lakierem, albo też dać pod lakier farbę w żywym kolorze.

Barwne meble koszykowe tworzą śliczną plamę wśród zieleni balkonu, tarasu lub werandy, a samo pomalowanie jest rzeczą łatwą i mało kosztowną. Maluje się wiklinowe, lub petychowe meble bejca, rozpuszczoną w gorącej wodzie, używając do malowania płaskiego, dużego pendzla. Farba wysycha momentalnie. Na wierzch daje się lakier spirytusowy bezbarwny, który utrwała farbę i nadaje piękny połysk.

W czasie deszczu powinno się usuwać meble z balkonu, gdyż nawet lakierowane niszczą się pod wpływem silnej i długotrwałej wilgoci.

Mielem dla oka i wygodnym uzupełnieniem mebli koszykowych i leżaków są poduszki. Powinno się pokrywać je materjałami, odpornymi na działanie słońca i częste pranie. Najodpowiedniejszymi tkaninami będą kretony meblowe w dobrym gatunku. Powłoczki na poduszki balkonowe trzeba robić zapinane na guziki, a nie zaszywane, co ułatwi zdejmowanie ich do prania. Serwetki, używane na stoliki balkonowe i serwety podwieczorkowe, zaścielane na otwartem powietrzu, muszą być również odporne na działanie słońca. Najładniejsze i harmonizujące z tłem będą barwne hafty ręczne na płótnie białym, lub szarem z uwzględnieniem deseni kwiatowych.

Jeżeli ustawiamy na werandzie kwiaty cięte, trzeba je układać w szerokich, niskich, niewyrotnych wazonach, najlepiej w wazach majolikowych, albo glinianych wypalanych.

Ślicznym dopełnieniem dekoracji są kosze wiszące (ampulki), obsadzone roślinami placzącami, Ampulki nie powinny mieć wkładek blaszanych, które nie dopuszczają powietrza do korzeni i tem samem utrudniają prawidłową wegetację.

Obsadzając prawidłowo ampulkę, trzeba wysłać ją od wewnątrz mchem, zarówno dlatego, aby ziemia nie sypała się przez otwory, jak i w celu łatwiejszego utrzymania ziemi w wilgoci. W koszu, wypełnionym pożywną ziemią inspektową, sadzi się pośrodku młody, silny krzew pelargonji, dookoła tradeskancję naprzemian z lobelią zwisającą, albo pelargonję bluszczową (również zwisającą). Prześlicznie też wyglądają kosze, obsadzone petunjami, które zwieszają się bujnymi pędami dookoła brzegów kosza.

Pielęgnacja roślin w ampulkach jest drobiazgową i kłopotliwą, trzeba je bowiem polewać bardzo obficie i to koniecznie dwa razy dziennie, zraszając rośliny po wierzchu rozpylaczem, lub przez sitko konewki.

Rzut oka z werandy psuje albo podnosi ogólne wrażenie. To też bardzo ważne jest przy planowaniu ogródka umieszczenie nawprost werandy i po jej bokach kwietników, lub rabat, obsadzonych dekoracyjnymi kwiatami. Niedaleko od werandy powinno się posiać trochę maciejki i zasadzić kil' a chociażby krzaków tytoniu pachnącego, pamiętając jednak o tem, że maciejka jest w ciągu dnia mało dekoracyjna, bo pokryta zamkniętymi kwiatkami, nie powinna więc zbyt rzucić się w oczy.

Wanda Dobrzańska.

P A W I E

(dokończenie)

Grzęda w takiej klatce nie może być przyczepiona do ścian, tylko umieszczona na słupie, wbitym, czy wkopanym w ziemię w samym środku pomieszczenia. Gniazda, umieszczone po bokach, muszą być ściśle dostosowane do kształtu całości; tak więc, jeżeli klatka jest sześciocienna, wewnątrz jej, wolne od gniazd, powinno również zachować formę sześciocienną.

Miły jest widok kurniczka pawiego, pomalowanego na kolor szary i obsadzonego naokoło kwitnącymi, piennymi roślinami; jeśli jeszcze przy takim pałacu stanie jego mieszkańiec w pełni swej krasy — całość tworzyć będzie dla oka prawdziwą uctę. Jeśli mieszkańcami tej pięknej klatki mają być pawie białe, lepiej pomalować ją na kolor ciemny, np. czernono-brunatny.

Pawice zaczynają się nieść po dwóch latach, wyrastają jednak ostatecznie i dojrzewają kompletnie po trzech. Przy dobieraniu stada trzeba uważać, żeby nie brać sztuk bardzo młodych, bo wtedy długo będziemy czekali na potomstwo; najlepiej dobierać pawice trzyletnie z samcem czteroletnim, i nie dawać mu więcej nad 5 samic. Lepiej też jest, o ile hodujemy większą ilość tych ptaków, aby każde stadko miało swój oddzielny kurnik.

Pawie żyją około 30 lat. Przy kupnie zwracać trzeba uwagę, żeby sztuki były dobrze wyrosnięte, ładnie zbudowane, czystej rasy, o nieskazitelnym upierzeniu. Zmieniać samców tak często, jak u reszty drobiu, nie trzeba, chyba, że okaże się on nieplodnym. Często trafiają się samice, upierzeniem swem zbliżone do samców, na te musimy zwrócić specjalną uwagę; napewno okażą się nieplodne. Gdy już stado mamy zebrane, zamykamy je na parę dni w kurniku, dając obfitą karmę. Po upływie tego czasu pawie zadomowią się zupełnie i nie będą już okazywały chęci do ucieczki.

Żeby mieć jajka pełnowartościowe, należy żywić pawie obficie, szczególnie zimą i wiosną, gdy sobie same pożywienia wynajdywać nie mogą. Pawie żywią się w przeważnej części ziarnem pełnym i otrębami, ale lubią i kartofle, buraki pastewne, odpadki mięsne, twaróg i t. p.; nad wszystko jednak przynoszą robaki, owady, a nawet płazy. Często zjawiają się na podwórku podczas karmienia drobiu, ale są tam nieproszonymi gośćmi i czempredziej zaleca się je stamtąd wyganiać, bo w przeciwnym razie rozzuchwalały się szybko i tyranizują wszystko, co im wielkością i siłą dorównać nie może.

Jedzenie otrzymują pawie dwa razy dziennie: rano ciasto, przyrządzane tak samo, jak dla kur lub

indyków, wieczorem ziarno; wody zaś powinny mieć poddostatkim przez cały dzień. Zimową porą, gdy śnieg ziemię całą okryje, powinno się dbać, aby im dostarczać cokolwiek zielonej paszy; mogą to być liście kapuściane, czy inne ogrodowe odpadki, lub wreszcie surowe pastewne buraki, czy marchew.

Paszę powyższą stosuje się cały rok; tylko wiosną, przed i w czasie niosności, dajemy im obfitsze porcje i do ziarna dodajemy cokolwiek gryki, co działa pobudzająco na niosność. Jesienią, w czasie normalnego pierzenia się ptactwa, trzeba też silniej je odżywiać, a zimą podawać karmę letnią. W czasie pierzenia pawie nie tracą tyle piór, jak inne pokrewne im ptaki, ale stają się smutne i płochliwe; jeżeli wtedy nie otoczymy ich specjalną opieką i nie będziemy strzec przed deszczem, odbije się to na ich zdrowiu i, co za tem idzie, na piękności.

W niesieniu jaj pawice są nadzwyczaj kapryśne. Jedne chowają się po krzakach, ścielą tam gniazda i jaja swoje tam składają; inne rozrzucają swoje po całym ogrodzie; jeszcze inne składają jaja, siedząc na grzędzie i, naturalnie, tłuką je. Dlatego też nie wszystkie pawice powinny być traktowane jednakowo, pewną swobodę można im pozostawić.

Słyszałam o jednej hodowli, prowadzonej w dużym, zagrodzonym parku, a więc zabezpieczonym od różnego rodzaju czworonogich rabusiów: pozwalają tam pawicom słać gniazda, gdzie im się żywnie podoba; dwa pierwsze jajka są znaczone i stale w gnieździe pozostawiane, następne zabiera się w miarę ich znoszenia, do czasu, aż pawica okaże chęć siedzenia; wtedy zwraca się jej wszystkie i nad gniazdem na czterech palach umieszcza się daszek, który ją ochrania przed zbytnią wilgocią w dnie słotne. Karmę podają zawsze w bliskości gniazda, żeby nie potrzebowała zbytńo się oddalać w poszukiwaniu pożywienia. W ten sposób pawica w spokoju wysiaduje jaja i dopiero z wylęzionymi pawiatkami zabiera się ją do kurnika i otacza ściślejszą opieką. Sposób powyższy dobry jest w zacisznym, chronionym parku, ale wymaga znacznie więcej pracy i nadzoru.

Najlepiej wszystkie ptaki spędzać na wieczór do kurnika i przyzwyczajać do niesienia tam jaj. Oporniejsze sztuki można parę dni przetrzymać zamknięte, nie wypuszczając ich wcale.

Jaja pawie wysiadują też dobrze indyczki, ale do dalszego ich wychowania można używać tylko indyczki młode, które po raz pierwszy zostały matkami i własnych piskląt nie znają; w przeciwnym razie przeraźliwe krzyki pawiat wnet je odstraszą i małe pozostaną bez macierzyńskiej opieki. Pod indyczki podkłada się pawich jaj 12. Jajka powinny być znaczone z jednej strony dla przekonania się, czy indyczka je regularnie przekreśla; o ile nie, musimy czynność tę uskutecznić sami, gdy ją do jedzenia z gniazda zaszczepimy. Dobrze jest jajka spryskiwać letnią wodą, szczególnie pod koniec siedzenia: skorupki wtedy kruszeją i pisklęta łatwiej się klują. Normalnie następuje to po 28 dniach, czasem przeciąga się do 30 dni.

Wychów pawiat podobny jest zupełnie do chowu indycząt. Pierwsze pożywienie, które otrzymują najwcześniej w 24 godziny po wyjściu z jajka, składa się z rozmoczonej bułki z pszenkami lub jęczmiennymi otrębami. Jedzenie musi być za każdym razem świeżo przygotowane, żeby nie było w niem nic skwaśniałego. Po dwóch dniach można im do tego dodawać cokolwiek twarogu, siekanej trawy, krwawnika, czy młodych pokrzyw (żegawek), kasz różnych, mączki z krwi, kości mielonych, lub fosforanu wapna i t. p.

potrochu przechodząc do zwykłej karmy dorosłych pawi.

Małe strzecz trzeba przed wilgocią i zbyt zimnem, szczególnie, gdy osiągną 2-ego miesiąca swego życia i zaczną im na łebku wyrastać kitka. Nie wolno ich wypuszczać rano na rosę, a przed zachodem słońca koniecznie trzeba je zaganiać zpowrotem do kurnika. O ile zauważymy, że pawięta w tym okresie tracą apetyt i smutnieją, przyrządzamy im i dodajemy do jedzenia, licząc dziennie na sztukę, dobrą szczyptę następującej mieszanki: 150 gr. imbiru, 50 gr. chinu, 60 gr. anyżu, 10 gr. cynamonu, 100 gr. piołunu. Z chwilą, gdy kitka już wyrośnie, pawie stają się odporne na wpływy powietrza i nie trzeba już otaczać ich tak bardzo troskliwą opieką.

Dochód dostarczają nam pawie swemi jajami, sprzedawanymi do wylęgu, mięsem, przypominającym smak bażantów i wreszcie dekoracyjnymi piórami. Jednak dla samych piór nie należy pawi zabijać, trzeba jedynie skrzętnie je zbierać jesienią podczas pierzenia się.

Gatunków pawi jest kilka. Najpospolitsze są niebiesko-zielone o metalicznym złotym połysku, o czarnej piersi i barwnym, połyskującym ogonie. Ogon pawi osiąga często 1,40 m. długości. Kitka na głowie jest goła, dopiero na samym czubku wyrasta parę piórek, tworzących pióropusz. Samica jest brunatna, jaśniejsza na piersi, ogon ma mały i brak w nim tak zwanych „oczek” barwnych.


Podobny do powyższego jest drugi gatunek, który ma poza czarną piersią i skrzydła czarne, a samica jest popielata, czasem z kilkoma ciemnymi plamami.

Trzeci jest paw prądkowany, różniący się od poprzednich upierzeniem szyi i skrzydeł, które są czarno i biało centkowane, pawice zaś są ciemniejsze. Pawie białe są całe jednolicie ubarwione, tak samiec, jak i samica; jedynie „oczka” w ogonie u samca są cokolwiek ciemniej zaznaczone, przechodzą w ton kremowy. Znawcy twierdzą, że to bezsprzecznie najwspanialszy gatunek, jednak znacznie delikatniejszy od innych i dlatego mało rozpowszechniony.

Wreszcie ostatnim, znanym nam gatunkiem jest paw „olbrzymi”. Upierzenie jego podobne jest do pawia pospolitego, jednak o barwach jaskrawszych i z kitką obrosniętą od samej nasady. Samica upierzona jest podobnie, jak samiec, tylko barwami cokolwiek mniej jaskrawymi. Pomimo wyróżniającej się piękności tego gatunku, najrzadziej jest on spotykany w zwykłych hodowlach, widzimy go jedynie u specjalnych amatorów pawi, lub w ogrodach zoologicznych. Możliwe, że przypisać to należy wyjątkowo dzikim ich instyktom, co ogromnie utrudnia hodowlę.

A. D.


DOBRODZIEJSTWEM DLA WŁOSÓW



*jest regularne
mycie głowy*

PLYNEM LUB
SHAMPOONEM

PIXAVON



TANIE OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

Zupa szczawiowa na wędzonce.

Paszтет z hreczanej kaszy w naleśnikach.

Kompot z rabarbaru.

Czterdzieści deka nieltustego, wędzonego boczku nastawić w dwóch litrach wody z włoszczyzną, jak na rosół. Pół kilo szczawiu przebrać, oplókać, sparzyć wrzątkiem, usiekać, wrzucić na gotowy smak z wędzonki, zagotować w nim. Półkwaterek śmietany rozbić z pół szklanką (lub nieco mniej) mąki, wlać do zupy, raz zagotować. Boczek pokrajać na pięć równych porcyjek i położyć na talerzach, nalewając zupę. Można dodać do tej zupy po jajku ugotowanem na twardo (na osobę).

Z dwóch jaj i półtorej szklanki mąki, łyżeczki soli i wody upiec kilkanaście cienkich naleśników. Pół kilo grubej hreczanej kaszy sparzyć trzykrotnie większą ilością wody, zagotować na blasze, dodać dziesięć deka drobno pokrajanej słoniny, wstawić w piec, aby się wypiekła. Formę tortową wysmarować masłem, wysypać bułeczką, wyłożyć naleśnikami. Układać warstwami kaszę i naleśniki. Ostatni powinien być naleśnik. Po wierzchu skropić masłem i upiec w dobrze gorącym piecu. Wyrzucić na półmisek i podawać gorące. Można podać w sosjerce topioną słoninkę czystą, lub przesmażoną z cebulą. Jeśli są w domu jakiegobądź resztki mięsa, usiekać je drobno i dodać do kaszy przed przekładaniem naleśników.

Pół kilo rabarbaru oczyścić z włókien i pokrajać w kostkę, rozmiaru włoskiego orzecha. Dwadzieścia pięć deka cukru zagotować z dwiema szklankami wody, do wrzącego syropu włożyć rabarbarum i natychmiast odstawić na bregz blachy. Kompot powinien się gotować wolno, aby kawałki nie rozpadły się w gotowaniu. Dla zapachu włożyć trochę skórki, skrajanej z cytryny. Gdy rabarbarum zmięknie, co następuje bardzo prędko, przelać na salaterkę i ostudzić. Chcąc, żeby syrop był bardziej zawieszisty, rozbić deserową łyżkę kartoflanej mąki z pół szklanką wody, wlać do gotowego kompotu i raz zagotować.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

ELEGANCKIE PODANIE SZYNKI.

Z ćwiartki młodej kury lub pulardy, z dodaniem kawałka kruchej kostki wołowej i zwykłej włoszczyzny, ugotować litr rosolu. Jeśli nie dość czysty, sklarować go białkiem, ubitym z łyżką octu. Zaprawić żelatyną, licząc trzy listki żelatyny na

szklankę płynu. Piętnaście deka chudej szynki, białka z trzech jaj, ugotowanych na twardo, i jeśli mamy — parę truflii pokrajac na jaknajcieńsze paski. Dodać ćwierć kilową puszczykę konserwowanego, drobnego, zielonego groszku. Gdy galareta już się dobrze ścinać zaczyna, zmieszać z nią te wszystkie garnitury i przelać do wysokiej foremki. Jeśli nie mamy specjalnej formy, można użyć formy do zamrażania lodów, lub budyniowej. Czwartą część tej galarety wraz z dodatkami pozostawić i napełnić nią kilka małych foremek, naprzykład foremek do babeczek śmietankowych. Wszystkie te formy z galaretą dobrze zastudzić.

Mięso z ugotowanej pulardy zdjąć z kości, odrzucić skórki. Wziąć dwa razy tyle (na wagę) przeraśniętej gotowanej szynki. Zemleć to trzy razy na maszynce. Zrobić bardzo gęsty beszamel z łyżki masła, niedużej łyżki mąki i szklanki śmietanki, do dać doń dobrą garść ostrego, tartego sera, najlepiej parmezanu lub starego szwajcarskiego. Mięso i beszamel przetrzeć przez gęste sito (niektóre maszynki do mięsa mają już specjalne gęste sitka, co ułatwia to ostatnie przecieranie). Zaprawić do smaku paru kroplami Cabula lub Worceстера. Ucierać, aż masa stanie się zupełnie gładka.

Przed podaniem wyłożyć dużą formę galarety na środek okrągłego półmiska. Około kilo szynki, cienko nakrajanej, podzielić na ładne, równe kawałki. W środek każdego kawałka kłaść po łyżce przygotowanego musu. Zwijać w rurkę, jak się zwija andruty, i układać wkoło galarety, jeden rząd nad drugim, aż wszystko wyjdzie. Po brzegu półmiska ułożyć małe galaretki, wyjęte z foremek. Pomiędzy nimi dać zieloną sałatkę lub rzeżuchę i żółtka z jaj, pokrajane na ćwiartki. Można jeszcze całość przybrać gęstym sosem majonezowym, wyciskanym przez tutkę z grubego pergaminu, lub zapomocą specjalnego korneta z metalowym końcem. Sosjerkę takiego majonezowego, lub tatarskiego sosu podać do szynki oddzielnie.

KROKIETKI KARTOFLANE Z SZYNKĄ.

Sześćdziesiąt deka kartofli, już obranych, ugotować na parze i przepuścić przez specjalną maszynkę. Ostudzić, wbić dwa jaja całe, dodać trzydzieści deka przeraśniętej szynki, jaknajdrobniej pokrajanej, i dziesięć deka mąki pszennej. Wyrobić doskonale; o ile masa zbyt twarda, dodać parę łyżek mleka lub śmietany. Osolić do smaku. Można też odrobinę popieprzyć. Formować z tej masy wałeczki, kształtu i rozmiaru korka do winnej butelki. Utarzać w mące, następnie w rozbitym jajku, nakoniec w tartej bułeczce. Smażyć natychmiast w rozpalonym smalcu. Osączyć na bibule, ułożyć na serwetce i podać po zupie zamiast pasztecików. Można podać do nich cytrynę, pokrajaną w podłużne ćwiartki.

SZYNYCLE CIELEŃCE Z PIECZARKAMI.

Uformować zgrabne, okrągłe, nieduże sznycelki z białej cieleńciny (osiem do dziesięciu sznycelków z jednego kilo cieleńciny bez kości). Ułożyć na patelni lub brytfannie na rozpuszczone, lecz niezrumienione masło (1 łyżka); podlać parę łyżek białego wina, tyleż rosołu lub wody, przykryć pokrywą, wstawić do pieca. Po dziesięciu minutach pokrywę zdjąć, sznycelki przewrócić, dopiero teraz posolić. Wstawić ponownie do pieca na minut dwadzieścia lub więcej, aż dojdą. Powinny być bardzo miękkie, lecz niezrumienione.

Tymczasem przygotować tyle sporych grzanek z bułki, ile

mamy sznycli. Zrumienić je z obu stron na maśle. Wybrać tyle dużych równych, młodych pieczarek, ile mamy sznycli. Oczyścić je na sucho, ocierając starannie z ziemi. Dopiero po oczyszczeniu prędko oplókać. Skórki można nie zdejmować. Usmażyć w łyżce masła, wstawić w piec z patelnią, aby dobrze doszły wewnątrz. Na każdej grzance ułożyć po sznyclu, na nim po pieczarce. Na pozostałe po pieczarkach masło wsypać łyżkę mąki, zasmażyć. Sosik, w którym się dusiły sznycele, dodać do tego sosu. Rozprowadzić rosołem lub wodą do gęstości zwykłego sosu. Dodać parę łyżek śmietany. Zagotować raz. Jeśli sos nie dosyć gładki, przetrzeć go prędko przez sitko i polać nim sznycelki, lub podać oddzielnie w sosjerce. Do takich sznycli dobrym garniturem jest ryż na sypko, lub puchowe kartofle.

MUS CYTRYNOWY.

Trzy średnie cytryny, z których skórki otarto paru kawałkami cukru, wycisnąć. Sok ten zmieszać z dwiema szklankami wody i szklanką cukru, zagotować raz tylko, ostudzić. Dodać dwa deka żelatyny, wpięć rozmoczonej w zimnej wodzie, następnie rozpuszczonej w paru łyżkach gorącej. Nakoniec włożyć dwa białka i ubijać trzepaczką, aż masa zbieleje i bardzo narownie. Formę wylać wodą, wysypać cukrem, włożyć w nią stygnący mus i wynieść na chłód na parę godzin. Po wyłożeniu na półmisek ubrać konfiturami i lekkimi biszkopcikami i polać syropem owocowym.

Pani Elżbieta.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

- Gustaw Morcinek: „Byli dwaj bracia“ — powieść.* — Autor Serca za tamą“ dał tym razem powieść obyczajowo-regionalną z życia małorolnych i górników na Śląsku. Powieść, przeznaczona dla szerokich warstw, powinna się znaleźć w bibliotekach popularnych.
- Stanisław Szpotkański: „Bez ziemi i bez nieba“ — powieść,* odzwiercietlająca czasy rzezi galicyjskiej, z postacią Szeli na pierwszym planie. Świat wiedeński z Metternichem ma też swoją odrębną kartę.
- Charlotte Brontë: „Dzienne losy Jane Eyre“ — powieść. Przekład Teresy Świdorskiej. Z przedmową profesora Andrzeja Tretiaka.* Treścią powieści są koleje życia biednej nauczycielki. Poza fabułą romantyczno-dramatyczną mamy tu obraz społeczeństwa angielskiego w pierwszej połowie w. XIX. Przedmowa prof. Tretiaka rzuca światło na postać autorki i genezę powieści.
- Adams Herbert: „Tajemnica domu za bramą królowej“ — powieść detektywistyczna, odpowiednia również dla młodzieży.*
- Jerzy Bandrowski: „Wieś cztertnastej mili“.* — Nowele chińskie. Obrazki na egzotycznym tle wsi chińskiej.

DROBNE OGŁOSZENIA

AKUSZERKA HAHN udziela porad paniom miejscowym i przyjeźdnym. Hoża 1a m. 4, tel. 8-53-03.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszczy“. Rymarska 8, tel. 244-18.